



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

KSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CEL ŻYCIA

POJĘTY W WYCHOWANIU.

II.

Gdy wychowanie rozbudzi w istocie młodej sumienia, to jest poczucie obowiązku obok poczucia winy, skoro obowiązek ten wypełnionym nie zostanie; gdy pojęcie godności osobistej stanie tu na straży u granic, oddzielających złe od dobrego; gdy myśl uszlachetniona nie daje się już przykuć wyłącznie do zadowolenia potrzeb materyalnych, należy z kolei wskazać kształcącej się do życia młodości wyższe ideały, wiodące człowieka drogą życia górną. Trzeba nauczyć ją cnoty poświęcenia, rozdmuchać w piersi iskrę zapału dla wielkich celów ludzkości i ogółu swojego, bo inaczej przystąpić tu musi nędzne sobkowstwo i człowiek zamknie się wyłącznie we własnej swej istocie — wytknie sobie cele własnego tylko dobrobytu i zasklepi się w nich jak żółw w skorupie bez żadnych wyższych, szlachetniejszych pragnień nad zadowolenie chęci i potrzeb swoich. Wychowania też zadaniem jest wytworzyć najpierw w sercu młodem nie dopuszczające tego uczucia.

Nauka, to jest oświecająca nas wiedza, znaczy tu dużo przez podniesienie myśli, przez rozszerzony zakres poglądów naszych na życie, ale nie wszystko to jeszcze, uczony francuzki, którego nie można już bynajmniej posadzić o zacieśnienie pojęć, Cuvier, wypowiedział to zdanie wiecznie prawdziwe, że „jakkolwiek nauka ściga komety wśród niezmiernych przestworów błękitu, jednak serce ludzkie wymyka się z pod jej władzy“ i dla tego też nie można w wychowaniu opierać się na niej przeważnie, czyniąc ją szczególnym wychowa-

nia tego celem. Jest to przecieć światło, potrzebne nam niewątpliwie dla rozjaśnienia ciemności i wykazania nam dróg naszych przez życie, czy proste są, lub krzywe, należy też od samych początków nauczania taką misją nauce dawać. Czytanie znaczy tu bardzo wiele, lecz, zdaniem mojem, tylko pierwsze dzieciństwo powinno mieć książki specjalnie dla niego pisane, a starszemu już nieco chłopcu, czy dziewczynce, można, nawet trzeba, dawać do rąk książki z szerszego już zakresu spraw życia, z przykładami meźnego torowania sobie dróg jego w dążeniu do wyższych, nad poziomość codziennego istnienia podniesionych celów. Pierwsze czytanie młodości stanowi o skierowaniu wyobraźni w tę lub ową stronę, i bywa to nieraz, zwłaszcza przy wyższej lotności umysłu, wyrocznem popchnięciem istoty młodej, bo wyobraźnia przez świeżość swoją wrażliwsza, niż w wieku późniejszym, chwyta wszystko z zajęciem gorącym i przerabia w sobie na pierwsze dla młodego umysłu, dla młodego uczucia ideały. Michelet przyznał w pamiętnikach swoich, że zamiłowanie do historii wyrobiło się w nim za pośrednictwem starej książki z życiorysami królowych francuzkich, której ryciny oglądał najpierw na kolanach matki, a którą czytał następnie z tem żywym zajęciem świeżej wyobraźni, jakiego nie zdołała już wzbudzić potem żadna książka inna. Marzył na jawie i we śnie o tych postaciach wspaniałych, purpurą odzianych i niejednym taki przykład podać-by można, jak wpływ książki, obrazu, rozbudził i uskrzydlił do lotu w kierunkach danych tej władze, którą Francuz błędnie nazywa „la folle du logis“. Jest to wyrwanie się istoty naszej nad poziomy życia, jest to więc siła wielkiego znaczenia, której wychowanie ani lekceważyć, ani odłogiem zostawiać nie powinno, bo może wtedy wziąć lot w kierunku niepożądanym, wywieść młodość niedoświadczoną na manowce błędne.

Szekspir twierdził rozumnie, że „każdy człowiek ma w sobie muzykę wewnętrzną“, wychowa-

nie powinno nutę jej uchwycić i transponując przez wpływy swoje na ton wyższy, uszlachetniać ją i podnosić; przecieć należy badać bardzo uważnie naturę istoty wychowywanej, aby nie dopuszczać się samowoli, która nigdy nie wydaje owoców dobrych. Człowiek zalicza do najwyższych obdarowań swoich rozum i wolę wolną, przez które to przymioty ducha różnimy się od zwierząt; wychowanie pamiętać o tem powinno i wiedzieć, że nie godzi mu się porywać na te przyrodzone człowieka przywileje—nie godzi mu się nie tu łamać, lecz tylko kształcić i uszlachetniać wszystko—wspomagać istotę młodą w rozwoju danych jej przymiotów, w wykorzenianiu skłonności ujemnych, podsuwając umiejętnie środki odpowiadające celowi. Trzeba tu rachować się z wrodzonym despotyzmem naszym: trzeba się pilnować taktu, jak w muzyce—trzeba pamiętać, że kształcimy istotę, której Bóg dał wolę wolną.

Wychowaniu nie łamać, nie unicestwiać nie należy, ale pociągać za sobą i skierowywać ku celom pożądanym. Rozumni, taktowni rodzice, taktowni nauczyciele osiagają to zawsze, i jest to jednym z najważniejszych zadań wychowania, aby tak było. Łamać istotę młodą siłą przemocy jest to zawsze przynosić ujmę jakąś jej charakterowi, poniżać go, i prawdziwie dobrem wychowaniem nazwać też można takie tylko, które nie dochodzi do tego. Czuwać, kierować odpowiednio, złego nie dopuszczać, a dobrym przymiotom dawać pomoc, poparcie należne—oto środek najskuteczniejszy i niezawodzący nigdy w owocach wyników swoich.

Dziecko każde przynosi ze sobą niewątpliwie pewne moralne, intelektualne dane: prawdziwym zadaniem wychowania jest też tylko rozwijać dobre, złe zagłuszać, czego przecieć warunkiem pierwszym jest uważne badanie indywidualności dziecięcej. Nie jest to glina, z której rzeźbiarz, jak się wyraził któryś pedagog angielski, urabia według woli swojej posąg lub posążek, naprzód obsta-

lowany, i nie można tu sobie powiedzieć z góry nie nad to, iż z tej istoty młodej ma wyrosnąć człowiek uczciwy. Dobre przymioty rozwijać i z ich pomocą złe zagłuszać—to cel wychowania, powzięty dla celów życia istoty wychowywanej. Człowiek musi coś czuć, coś kochać, coś wielbić wśród ludzkości; wychowanie też polega na tem, aby tu było podsuniecie myśli, podsuniecie przedmiotów, na które myśl ta zwracać się powinna,—wyrobienie szlachetnych ukochań, szlachetnych wstrętów do tego, co niskie, co brudne: a to już stanie się gruntem, na którym istota młoda rozwijać się będzie podniosła przez naturalną siłę rzeczy. Do tej chwili istnienia swego nie posiada jeszcze ona nie, stałe ugruntowanego w sobie to, co ma stworzyć przyszłego człowieka, kielkuje tu dopiero i może zostać zagłuszonem lub rozwiniętem zapomocą wpływów wychowawczych. W cichem, spokojnem życiu rodzin odgrywają się nie mniej, niż wszędzie, gdzie człowiek kocha, cierpi, pożąda, dramatą wzruszające, i życie to ma równie poezyję swoją—poezyją uczucia, poświęcenia, cichej pracy dla szczęścia drogiej nam istoty; są tu zatem dane wpływów podnoszących, trzeba tylko zestawiać je z myślą, z uczuciem młodem. Same wyrazy, słyszane przez dziecko, już w części znacznej przykładają się do tego, i rozumnie ktoś powiedział, że „wyrazy są dla myśli, a myśl dla serca i życia“, bo uderzają one o umysł i budzą w nim drzemiące tam siły i skłonności, dać też mogą popchnięcie wyroczone rozwojowi kielkującego uczucia, kierunkom budzącej się wyobraźni.

Dobre przyzwyczajenia, dawane dziecku przez uczciwy układ życia rodziny, mają tu znaczenie bardzo, bardzo wielkie; niemniej przecież pamiętać trzeba i o tych wpływach pobocznych, które mogą działać źle lub dobrze, bo fale życia toczą się wkoło nas nieustannie i nie zawsze można odgrodzić dziecko od widoku i wiedzy otaczających nas nędż życia — od rzeczy niskich, lichych, nieszczęśliwych, które się dzieją gdzieś w pobliżu, i znaczy też bardzo, bardzo wiele tak pociągnąć umysł młody w kierunku myśli wyższych, szlachetniejszych, dać wyobraźni zajęcie o tyle podniosłe, aby nie było tu już chwili i czasu do zbierania owych wrażeń pobocznych. Gdy przecież przekradną się do niego i uderzą go, młodość dobrze, uczciwie chowana już odwróci się od nich ze wstrętem i surowo je osądzi, a w żadnym razie nie zajmie się niemi, chyba przez takie wzruszenie litości, jakie się czuje nad tem, co nędzne, ubogie, powalone o ziemię.

Każda młodość szlachetniejsza posiada przecież wady pewne, zrodzone z przymiotów swoich; łatwiej jest, na przykład, wzbudzić w niej litość, niż sprawiedliwość, wspaniałomyślność, niż regularne, ciche wypełnianie obowiązków, i wielkiem zadaniem wychowania jest stan taki uregulować, nie zatłumiając przecież gorących porywów uczucia, porywów zapału, umiłowania rzeczy wzniosłych. Są to skrzydła ducha i nie podeinajmy ich, bo niema takiego istnienia ludzkiego w każdej sferze życia, w której by nie było potrzeba rozwinięcia ich kiedyś — wylecieć nad poziomy i spojrzeć z tak wysoką na życie, aby małości, drobiazgi jego zniknęły już nam z przed oczu, a występowało na ich widok to tylko, co ma dla istnienia ludzkiego cenę prawdziwą — jest wartością taką, za którą jedynie dusze podnioslejsze mogą kupić sobie ciche, wewnątrz nas mieszkające i jedynie też pewne, stałe szczęście. Trzeba nam nieraz wśród drogi życia spracować się ciężko — trzeba nieraz wobec zadań i obowiązków istnienia, pojętego dostojnie, przedstawiać, jak karyatydy, barki pod ciężary, jak cyklopy przenosić Pelion na Ossę, — i dlatego właśnie, trzeba nam już od młodu przygotowywać się do tego duchem i ciałem: wyrosnąć na silaczy, terminując w nauce pracowitego, samolubnego używaniem niepodminowanego życia. Postawić to sobie przed oczyma w wychowaniu młodości, która ma wyrosnąć szlachetnie do życia, to pojąć już w wychowaniu życia tego cel podniosły.

M. I.

Z I M A.

Ostatni listek zdrzął na drzewie,
Lice przyrody pobladło,
W chłodnym mroźnego wiatru powiewie
Stało śmierci widziadło.

Słońce, błysnąwszy krwawo z za chmury,
Złożyło, cieplejsze, bratnie,
Na zamrożonych ustach natury
Pocałowanie ostatnie.

Wiatr zawył głucho, groźna śnieżycą
Nad sennym światem przelata.
Widzę cię, zimo! Śnieżne twe lica
I śnieżna długa twa szata.

Witam cię, jasna! W białej obłonie,
Królewską strojna koroną,
Idziesz powoli, na chłodnym łonie
Tuląc naturę uspioną.

Przed tobą wichry pędzą jęczące,
Za tobą śniegi w zawody;
W śniegach się krwawo odbija słońce,
W wichrach — westchnienia przyrody.

Tak idziesz z piętnem chłodu u czoła,
Jak groźna śmierci królowa,
W dal zapatrzona, głosisz dokola
Straszliwe zniszczenia słowa.

J. Nitowski.

NIEWOLNICA.

POWIEŚĆ

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

— W cukierni oglądał się na wszystkie strony, czy przypadkiem nie dojrzy człowieka, któryby mu przypomniał kolegę szkolnego. Co prawda, fiziognomia Tretkowskiego występowała przed oczyma jego fantazyi w bardzo niejasnych zarysach, na dobitkę — w mundurku szkolnym. W cukierni siedzieli tylko zwykli próżniacy plonniccy, znani mu dobrze z widzenia, i jakiś jegomość obcy opasły, nadepty, nieprzyjemny, z wyrazem twarzy arroganta i egoisty. Już chciał zbliżyć się do niego i zapytać go, czy nie jest czasem Tretkowskim, gdy w tem usłyszał po za sobą głos, pytający chłopca w bufecie:

— Czy nie był tu czasami pan Talski?

Pan Justyn odwrócił się i spostrzegł człowieka średniego wzrostu, szczupłego, ubranego elegancko ale szpakowatego już, z twarzy pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami. Tylko czarne bystre oczy przypominały mu dawnego kolegę.

— Jestem — zawołał — a pan zapewne jesteś Kajetan Tretkowski.

— Tak jest, Tretkowski, twój kolega szkolny — rzekł przybyły. A potem, pociągając za sobą Talskiego do bocznego pokoiku, dodał z gorzkim uśmiechem: — Tak jest, kolega szkolny, ale pewno nie szczególnie w pamięci innych kolegów zapisany.

Talski uśmiechnął się cierpko, jakgdyby chciał oświadczyć, że szanowny kolega nie mylił się wcale.

— Nie jestem tem, czem byłem — mówił Tretkowski — przeszedłem ciężką szkołę i zmieniłem się bardzo. Nie patrz na mnie z taką wzgardą,

Justynie... na prawdę zmieniłem się i najlepszy dowód, że stawiam się na twoje wezwanie.

— Nie śpieszyłeś się jednak — napomknął Talski.

— Nie było mnie w domu, kiedy twój list przyszedł do Bieniałek. Ale wróciwszy do domu i przeczytawszy twój list, natychmiast wyruszyłem w drogę.

— Więc rozgrzeszam cię z tego grzechu — rzekł z lekkim uśmiechem Talski.

— I z innych grzechów mnie rozgrzeszysz, gdy ci powiem, z czem tutaj przyjechałem. Wiozę mocne postanowienie naprawienia całej krzywdy, którą rodzinie Kołoszewiczów wyrządziłem.

Pan Justyn wytrzeszczył na Tretkowskiego oczy z niedowierzaniem.

— Tak jest, całej krzywdy. Nie wierzysz? Rozumiem to dobrze, nie znałeś mnie jeszcze z tej strony: owszem, znałeś mnie z całkiem przeciwnej, więc mi nie ufasz. Nie zapieraj się, mów szczerze... nie ufasz?

— Jeśli mam być szczerym, to nie mylisz się.

— Gdybyście znali dobrze całą historię mego żywota, może nie sądzilibyście mnie tak surowo. Jestem jeden z wielu... syn szlachecki... wychowany w rodzinie z pretensjami do pańskości. Czyż-to mało takich u nas było i jest jeszcze dzisiaj? Pierwsza ich zasada: nie odnawiać sobie niczego, choćby za ostatni grosz, druga, gdy swoich środków braknie, żyć kredytem, nie kłopotując się tem wcale, czem się potem długi płacić będą, niech się kłopotają ci, co pożyczali... Takim byłem, i moje szczęście, że przeszedłem przez czyszcenie biedy i upokorzeń, bom poznał, jak boli krzywda ludzka i poniewierka.

Talski nie wierzył własnym uszom.

— O jedną łaskę prosić cię będą, drogi kolego — mówił dalej Tretkowski — abyś mi oszczędził konieczności widzenia się z Kołoszewiczową. Nie miałbym odwagi stanąć przed tą kobietą. Pamiętam, aż nadto dobrze, jakimi oczyma patrzała na mnie, kiedy zruinowany, upadły bywałem w ich domu, korzystając z gościnności i dobroduszości nieocenionego Władka. Ale, Bóg mi świadkiem, że poręczenie za mój dług nie było z mej strony ani podstępem, ani oszustwem. Miałem wtedy wszelką nadzieję odzyskania części majątku, wydartego jeszcze memu ojcu, a żem przegrał, to nie moja wina. Wojny i procesu zawsze niepewny skutek.

Dziwnie brzmiało w uszach Talskiego to opowiadanie, stawiające w całkiem innym świetle człowieka, na którego wydał był nieodwołalny wyrok potępienia. Aż go zagryzło sumienie, że dotąd w Tretkowskim nie widział nic więcej nad lekkomyślnego utracjusza, przeobrażonego w bezmyślnego wyzyskiwacza.

— Ale mniejsza o to — mówił dalej Tretkowski — mógłbyś sobie pomyśleć, że domagam się rehabilitacji mojej... wcale niezaszczytnej przyszości. Wszelako odpokutowałem za nią... odpokutowałem. Trudno byłoby ci opisać wszystko, com przecierpiał po przegraniu procesu ze stryjem. Uciekłem od ludzi, których pozorywałem poprostu, mało nie umarłem z głodu, a w dodatku dźwiagałem brzemie nieznośnych wyrzutów sumienia za nadużywanie dobrej wiary ludzi, co mi ufali i pożyczali. Do dziś dnia wyrzucam sobie poręczenie Kołoszewicza, bo mi się zdaje, że był to cios, który stracił go w przepaść...

— Było takich ciosów więcej — przerwał Talski.

— Kiedy spadł na mnie tak niespodzianie majątek pomieboszczeciotce, o nim pierwszym pomyślałem. Niestety, nie było go już w okolicach Lublina, a ludzie, do których się odnosiłem, nawet nie wiedzieli, dokąd się wyniosł. Prawdziwie tobie zawdzięczam, że mi otworzyłeś drogę do naprawienia złego.

Tretkowski z Talskim siedzieli długo jeszcze w osobnym pokoiku w cukierni i rozmawiali o interesie Kołoszewiczowej. Skruszony grzesznik, to jest dłużnik, płacący długi, obliczył najsumienniejszą sumę długu, zaległe procenta i procenta od procentów; te ostatnie zapłacił od razu gotówką, a resztę postanowił uważać za sumę długu. Uradzono, aby zapytać wdowę, co woli: czy odebranie długu ratami, — bo na całkowitą spłatę, Tretkowski na razie zdobyć się nie mógł, — czy też poprzestanie na pozostawieniu długu u dłużnika, który zobowiązywał

się zahypotekować go na swym majątku i płacić procenta jaknajregularniej? Co więcej, przyobiecał, że wpłynie na Budniasa, aby i on dług swój zwrócił.

Wdowa słuchała sprawozdania o wszystkim tem, niby bajki o zaklętej królownie. Zakreśliła jej się w głowie do tego stopnia, że nie mogła dać odpowiedzi na dylemat, postawiony przez Tretkowskiego.

— No, no, cóż mam odpowiedzieć Tretkowskiemu?— nalegał Talski.

— Odpowiedz pan tak, jak się panu najlepiej wydaje. Ufam panu bez granic, więcej, niż sobie samej.

Stało na tem, aby dług zahypotekować, a życie urządzić sobie według miary, na którą pozwalał procent, raty Burki i Gielka i dochód z robót, których pani Józefa dostawała coraz więcej.

Wkrótce i Budnias oddał dług, należycie jednak okrojony; sumkę tę Talski w samym Płoniczu na hypotece umieścił.

XIV.

W domu wdowy i sieroty zapanował teraz spokój i nawet względny dobrobyt. Ciężka na nim wprawdzie atmosfera żałoby, ale żałoby cichej, która łagodziła pracę powszednią, a jeszcze więcej owa religijność, wyniesiona przez Kołoszewiczową z domu zacnych, żyjących według najszlachetniejszej tradycji rodziców. Religijność tę i tradycję przechowywała ona przez przeciąg smutnego, gorzkimi łzami oblewanego żywota i dziś przelewała je na jedyny swój skarb na świecie, na córkę swoją.

Ludzie teraz zaczęli zwracać uwagę na obie te kobiety, na które dotąd w Płoniczu nie patrzano nawet. Rzeczywiście obie one w grubej żałobie sprawiały niepowzvednie wrażenie. Pani Józefa wyglądała wprawdzie o wiele starzej na swe lata—tak ciężkie przejścia w życiu starły nielitośnie ślady młodości—ale pozostały jej oczy dziwnie łagodne, przenikające do głębi każdego, kto w nie spojrział, czemś prawie anielskiem,—wyrazem dobroci, rezygnacji i spokoju.

Zato Stasia teraz stawała się coraz bardziej ślicznym, czarującym dziewczęciem.

Po ojen otrzymała wyraziste, prawidłowe rysy, profil nieposzlakowanej czystości, czoło szerokie, zakrój na wzrost wysoki, oczy zaś jej miały silniejszy błękit, niż oczy matki, ale tensam wyraz dobroci i spokoju. Kiedy słaby uśmiešek lekko kształtne usteczka sfałdował, wyglądała jak aniołek, a gruba żałoba podnosiła jeszcze urok tej wyśmienitej blondynki, która zapowiadała, że na niepospolitą piękność wyrośnie.

— Doprawdy, ta Kołoszewiczowa z córką wyglądają jak *les princesses en exil!*

Działo się to w epoce, kiedy arystokracja, zarówno wielkoświatowa, jak i małomiejaska, a zatem i panie płonickie, poczytywały sobie za święty obowiązek przeczytać znany romans Daudeta.

Wszelako człowieka, któryby umiał czytać w fizjognomii Stasi, jeszcze więcej nad jej wdzięk i urodę pociągnałby wyraz ogólny oblicza, wskazujący, że to jest dziecko bystrego umysłu, wielkich zdolności. Objawiało się to w szerokim czole, w charakterystycznej zmarszczce ponad osadą nosa, w dziwnym połysku łagodnych, a jednak przenikliwych, oczu. Talskiemu zdawało się, że w tem uroczem dziecku widzi odbicie lotnego umysłu, niepospolitej zdolności ojca, które z łaski jego szalonej lekkomyślności rozproszyły się bez pożytku dla świata, dla niego samego, a raczej nawet na jego szkodę. Myśl o tem przejmowała smutkiem Talskiego, ale pocieszał się tem, że wpływ szlachetnego, wzniosłego charakteru matki złagodzi ową lekkomyślność, i może nawet całkiem rozwinąć się jej nie da.

— Kto wie?—myślał sobie—może z tej kombinacji wyrobi się coś pięknego, wspaniałego umysłem i charakterem?

O zdolnościach Stasi Talski przekonał się dowodnie, zdarzało się bowiem, że przychodził w takiej porze, gdy matka, szycząc bieliznę, zajęta była lekcją z córeczką. Zazwyczaj prosił pani Józefę, aby nie przerywała sobie, ale pozwoliła mu posłu-

chać, zapewniając, że jemu, co tyle lat spędził na lekcjach i korepetycjach, niewymowną przyjemność sprawia przypomnienie dawnego zajęcia. Co więcej, prosił, niby o łaskę, aby mu pozwolono dawać lekcje historii dziewczęciu.

Pani Józefa powtarzała niejednokrotnie:

— Mój Boże, dziś, gdy wypadło mi uczyć własne dziecko, jakżeż mi niewymownie żal, że nie tak mało sama w dzieciństwie uczyła! Bo, doprawdy, jakież to było moje wykształcenie? Kilka lat w domu przy guwernante; gospodarstwa i robót od matki, a potem—ubrano mię w długą sukienkę i wożono po zabawach w sąsiedztwie, póki za mąż nie wydana.

Wdowa niesłusznie sama siebie obmawiała. Wiadomości jej może nie były rozległe i obfite, ale otrzymała gruntowne wszystkich nauk początki, a nadto miała dziwnie szlachetny i wzniosły pogląd na wszystko, a pogląd ten był tradycją jej rodu, atmosferą, w której urodziła się i wychowała. Był on zarazem najpiękniejszym, najcenniejszym posagiem, jaki wyniosła z zacnego, prawego, gorąco kochającego dobro i prawdę domu szlacheckiego.

Nawet muzykę posiadała gruntownie i dobrze uczyła swoje córki, która i na tem polu objawiała niepospolite zdolności. Dziś, gdy interessa ułożyły się tak pomyślnie, pani Józefa wynajęła tanie pianino i ku wielkiemu zadowoleniu Talskiego, co łaknął muzyki, niby wędrowiec zbłąkany w puszczy, nierzaz zagrała coś z owych dawniejszych sztuk i melodi, za którymi tak przepadał.

Jednego dnia po przegraniu kujawiaka Łady pani Józefa przypomniała sobie młodzieńską skrzypaczkę z bawary i rzekła:

— Nie mogę odżalować, żeście panowie natenczas nie wyrwali tego cudownego dziecka z rąk starego pijaka. Mówiłam odrazu mężowi, że byłabym ją jaknajchętniej za swoje własne dziecko przyjęła. A teraz, Bóg wie, jaki los ją spotkał.

— Poszła na poniewierkę—rzekł z gorczyzą Talski.—Wodzi ją stary łotr po knajpach i szynkowniach, aby zarabiała mu na chleb i piwko.

— A może Bóg się zlitował nad biedną ofiarą, może znalazł się jakiś znawca i mecenas sztuki, który zajął się rozwinięciem i wykształceniem tego talentu.

— Chyba stary wrócił do Niemiec i tam natrafili na kogoś podobnego, bo u nas niema ludzi, coby taką rolę odgrywać chcieli.

— Niema, powiadasz pan? A jednak obydwaj z nieboszczykami chcieliście odegrać tę rolę.

— I... nie zrobiliśmy nic.

— Ze spełnieniem dobrego uczynku konieczne śpieszyć się trzeba, bo szatan czyha na to, aby sposobność dogodną uprzatnąć co prędzej i człowieka o jedną zasługę w życiu zubożyć.

— Szatan... uprzęta... nie, nie tylko uprzęta... on wydziera tę sposobność. Trzeba z nim staczać nieraz szaloną walkę...

I Talski zamyślił się posepnie. Żywo przed oczyma ducha stanęła mu cała walka, którą naonczas stoczył był z żoną, a zarazem w głębi serca uczuł ostry oścień wyrzutu, że walczył był nie dość bohatercko, bo pozwolił, by szatan wydarł mu zwycięstwo. Lekeye ze Stasią Talski miał tylko dwa razy na tydzień, jednakże niemal codziennie bywał w domu wdowy. Po zimnej atmosferze domowej, po jadłowitych przyczynkach ze strony pani Waleryi i niesłychanie drażniących chichotach Pelasi, tam znajdował dziwne ciepło ducha, jakiego mu tak było potrzeba. Gościa, który w innych warunkach mógł był spowszednieć, znużyć się, witano zawsze z oznakami najżywszej przyjaźni i wdzięczności. Wdowa ciągle miała na pamięci, że człowiek ten wydzwignął ją z toni w najokropniejszej chwili żywota i że podstawę dzisiejszego jej bytu, a zatem przyszłości jej dziecka, jemu tylko zawdzięczała. Wdzięczność zapuściła korzenie głęboko w jej sercu i lubo pani Józefa nie wyrażała uczucia swego w słowach, w ezczych podziękowaniach, jednakże uczucie to objawiało się w podaniu ręki na powitanie, w tonie mowy, w całym obejściu. Stasia, aczkolwiek nie pojmowała jeszcze całej doniosłości przysług Talskiego, wszelako pod wpływem matki poglądała nań jako na największego swego na świecie dobroczyńcę.

W duszy pana Justyna żyło uczucie wdzięczno-

ści, może nie mniejsze od tego, które serca wdowy i sieroty przepeśniało. Jakkolwiek to wyda się dziwnem komu, jednakże Talski istotnie był wdzięczny pani Józefie i Stasi, tą wdzięcznością, jaką szlachetne dusze czują dla tych, którym robią dobrze. Dla Talskiego potrzeba było uszczęśliwić ludzi dokoła siebie, a jednak na tej pustyni płonickiej tak mało nastęczało się do tego sposobności. Dziś więc dziękował Bogu, że mu pozwolił wreszcie zadowolnić tak długo hamowaną potrzebę jego całej istoty, a ludzi tych błogosławił za to, że nieszczęśliwi i opuszczeni stanęli na jego drodze i do niego wyciągnęli ręce o pomoc i ratunek.

Jedno dolegało mu przytem niesłuchanie, a mianowicie to, że nie mógł nakłonić żony do odwiedzania Kołoszewiczowej. Pani Józefa przyszła do Talskiej, podziękować za bytność w czasie tak dla niej okropnym, pani Walerya podziękowanie przyjęła tak, jakgdyby na nie była najzupełniej zasłużyła, ale o rewizycie ani słyszeć nie chciała.

— Po co ja mam chodzić do nich?—mówiła cierpko nalegającemu na nią mężowi.

— Pomyśl tylko... ludzie, dotknięci takim nieszczęściem, opuszczeni, bez przyjaciół, rady i pomocy...

— Czyż nie dosyć, że ty tam bywasz?—odparła Talska.

Pan Justyn czuł, że w tych obojętnych słowach coś złośliwego się kryje, bo Pelasia już miała wybuchnąć zwykłym swym chichotem, ale powstrzymała się, gdy na nią rzucił wzrok surowy.

Pewnego dnia, przyszedłszy do Kołoszewiczów, Talski spostrzegł dziwną zmianę w jej obejściu: była okropnie błąda i powitała go z wyraźnym przymusem. Tego dnia rozmowa ledwie, ledwie się kleiła. Talski nie rozumiał nic, przeczuwał, że coś zajść musiało, ale ponieważ nie robiono mu zwierzeń, nie pytał o nie.

Nazajutrz wdowa powitała go z dawniejszem swoim usposobieniem, wszelako na twarzy panowała bladeść i tkwiły ślady przebytej walki wewnętrznej. W ciągu rozmowy napomknęła, niby nawiasowo, że przychodzi jej na myśl, czyby dla łatwiejszego wykształcenia Stasi, nie osiąść czasem w Warszawie.

— Zapewne, że Warszawa daje o wiele więcej środków rozwinięcia młodej myśli—mówił Talski—ale dziś warunki zewnętrzne są tam bardzo ciężkie. Środki, zapewniające na prowincyi byt zmożny, nawet względnie wygodny, w Warszawie od biedy nie obronią.

— W każdym razie tam będę mogła oddać dziecko na pensya, bo ja wiem dobrze, iż moje wiadomości długo na uczenie jej nie wystarczą.

— W każdym razie wystarczą jeszcze na czas pewien, a potem, gdy przyjdzie czas, pomyślimy, jak to wszystko urządzić.

(Dokończenie nastąpi).

HAJOTA. NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

Na długie miesiące przed opuszczeniem kraju, ja, dziecko gór świętokrzyskich, rozkochana w ślicznych Pieninach i wielbicielka Tatr, wspomniałam, marzyłam o wdarciu się na szczyt Clarence Peak'u, trzeciej co do wysokości góry w Afryce, dumnej strażniczki mej przyszłej siedziby, wyspy Fernando Poo.

Bardziej niż inne cuda nieznannej przyrody nęciły mnie te skłony dziewicze, o których wiedziałam, że stoją samotne i tajemniczo pełne, parę razy zaledwie stopą białego człowieka dotknięte, chociaż u ich podnóża już od lat stu gnieździło się życie europejsko-cywilizowanych zapędów. Pragnęłam odetchnąć powietrzem tych wyżyn dzikich

i przekonać się, czy one wolne nad wolnemi — większą jeszcze swobodą uskrzydlić mogą ducha, czy i tu także, im dalej do ziemi, a im bliżej nieba, tem wszystko bardziej ze sobą się brata, i czy na krawędziach afrykańskich przepaści, wśród ekwatorialnej wegetacji nie natrafia raptem na coś takiego, co mi żywo tatrzańskie źleki i tatrzańską kosodrzewinę przypomni.

Marzyłam o tem wszystkiem tem chętniej, że miałam prawie zapewnione urzeczywistnienie moich bądź co bądź dość śmiałych planów, gdyż przyszedł towarzyszy mej doli, Rogoziński, od czasu swojej ekspedycji na szczyt kameruński, nosił się z zamiarem wejścia na Clarence Peak dla porównania właściwości tych dwóch pokrewnych sobie wierzchołków i ścisłego oznaczenia wysokości tego ostatniego, która dotychczas rozmaicie jest podawana. Reclus, na przykład, podaje ją według Burtona — który zresztą sam na Clarence Peak'u nie był, lecz musiał opierać się na obserwacjach towarzysza swej kameruńskiej wyprawy, botanika Gustawa Manna — na 10.761 stóp, podczas gdy mapy nautyczne oznaczają ją na 11.761 stóp.

Nie dziwno, iż zawsze wielkie zamięłowanie moje w podręcznych książkach spotęgowało się ogromnie w owym czasie, iż pochłaniałam wszystkie dzieła tego rodzaju, jakie dostać mogłam, zwłaszcza też odnoszące się do badań geograficznych afrykańskich. Pomiędzy innymi wpadło mi w ręce dzieło Burtona p. t. *Abeokuta and the Carnerovos Mountains* i znalazłam tam parę wzmianek o dostaniu się na tak bardzo zajmujący mnie Clarence Peak, wspomnianego już botanika Manna. Burton, który wysoko podnosi zasługi tego niezmordowanego zbieracza afrykańskiej flory, podaje wyjątek z jego listu drukowanego w *Sprawozdaniach Towarzystwa Linneusza (Proceedings of the Linnean Society)*, a datowanego w Maju 1860 r. (czyli w miesiąc po dokonanej ekspedycji na pik) do Sir Wiliama Hooker'a.

Brzmi on, jak następuje: „Słyszałem, że Pan dowiadywałeś się, czy wdarcie się na szczyt kameruński jest możebnem. Zapewne usłyszysz wkrótce, że jest to zupełnem niepodobieństwem i że posłać tam człowieka, znaczy tosamo, co go zabić, ale i mnie mówiono, iż dojdzie do Clarence Peak'u jest rzeczywiście szalenie trudnem, w każdym razie jednak jest możebnem.“

Ta opinia człowieka sumiennego i poważnego, którego nie można było posądzać o turystowską błagę, w zestawieniu z tą okolicznością, iż, jak wyczytałam dalej, tensam Mann dwa razy się zapędził i dwa razy zwyciężony trudnościami, z drogi cofnąć się musiał, i dopiero za trzecią próbą w towarzystwie i przy pomocy delegata hiszpańskiego do prac geodezyjnych, Don Juliana Pellon, dotarł na szczyt — mogła być dać mi do myślenia, lecz jak się to pospolicie w takich wypadkach zdarza, zamiast ostudzić podnieciła tylko moją wyobraźnię. — Tak zawsze i we wszystkiem tkwi ten stary urok zakazanego, lub przynajmniej trudnego do zdobycia owoce.

To też, gdy okręt wiozący nas z Kadyxu zanurzył wreszcie kotwicę w spokojnych głębiach zatoki Fernando-Poo, pierwsze moje spojrzenie, jakie padło na tę uroczą wyspę, pobiegło szukać na horyzoncie jej najdroższego klejnotu, pysznego Clarence Peak'u!

Nie zobaczyłam go — stał cały w mgłach i chmurach, jak mu się też to zresztą najczęściej zdarza. Dopiero w kilka tygodni później, po gwałtownem w noey tornadzie, cudny, przejrzysty poranek odsłonił mi to potężne pasmo gór, ciągnące się z północo-wschodu na południo-zachód i przecinające ukośnie wyspę na dwie połowy, tak sobie obec i żadnej styczności ze sobą niemające, jakgdyby je całe oceany dzieliły.

Bo i naprawdę, „jakby potopu świata fale“, tylko nie „zamrożone“, lecz w wieczystą zieleń w swoim biegu zakłete, przewalają się te wzgórza jedne nad drugimi w głąb coraz wynioślejsz, coraz bardziej zlewając się ze sobą, aż ich grzbiety, lasami porośłe, włączają się w jedną krawędź, odcieptą od horyzontu bez wgłęć, bez przerw, bez śladu tej pełnej fantazyi architektoniki gotyckiej, jaką prawie każde pasmo gór się szczyt. Tylko zbite wierzchołki drzew strzepią ją zlekka, gdy się tak posuwają monotonna, lecz majestatyczna, rosnąc

stopniowo, ku środkowi wyspy. W tem miejscu dopiero, jakgdyby tu nagle żywiej twórcze łono ziemi zadrgało, położyła linia wydyma się gwałtownie w podniebną kopułę. Ostre jej boki, przedarłszy dokoła lesiste opony skłonów, wynurzają się z nich nagie, imponujące, niby ręką artysty wymodelowane w doskonałą harmonią swych baniastych, o rozdwojonym czubku kształtów. W zagłębieniu tego czubka, przy takim jasnym, potornadowym dniu, oko z łatwością dostrzeże wielką, fioletowo-ciemniejszą plamę i rozgałęziającą się w niej jaśniejsze pręgi: to otwarte, zmartwiałe dziś serce ognistego niegdyś Clarence-Peak'u, wystygły jego krater. Cała zresztą powierzchnia kopuły zdaje się być poraną w bruzdy rozpadlin i błyszczyć krawędziami dzikich zrębów. Coś niedostępnego, co niektóre rzeczy piękne mają w sobie, coś, co nęci i odstrasza zarazem, wieje od tego samotnego szczytu.

Jak się później okaże, jest to tylko złudzenie optyczne, spowodowane odległością; przeciwnie — największe trudności dla badacza Piku kryją się w głębi tych napozór łagodnych spadków; gdy raz je przebrnie, odsłonięta pierś wierzchołka gościnniej go przyjmie, niżby mógł przypuszczać.

Z prawej strony szczytu tensam obraz, co z lewej. Tasama jednostajność linii opuszczającej się nieznacznie ku brzegom, ku morzu. Całość tego pasma robi wrażenie dwóch piastuńczych ramion z macierzyńską troskliwością i dumą podnoszących ku niebu na pokaz światu swe jedyne, ukochane dziecię.

Różne okoliczności sprzeciwiały się długo spełnieniu naszego projektu i rok pobytu na Fernando Poo dobiegał właśnie końca, kiedy mogliśmy sobie powiedzieć nareszcie: „Jutro jedziemy.“

Jedną z najważniejszych przeszkód, dla których nie dało się to wcześniej skutecznie, była trudność w wynalezieniu przewodnika.

Czarna ludność Fernando-Poo składa się z dwóch żywiołów: z Potonegrów, mieszkańców miasta portowego Santa Isabel (dawnego Clarence Anglików) potomków osadzonych tu za czasów krucjaty przeciw niewolnictwu wyzwolenców z różnych stron Afryki, którzy uważają się za białych, przez omyłkę tylko w czarnej skórze urodzonych, i mieliby sobie za ubliżenie, gdyby ich kto śmiał posądzić o coś tak niecywilizowanego jak nieznajomość rodzinnego kraju; i z Bubisów, autochtonów wyspy, którzy wprawdzie są dzicy za tamtych i za siebie i na skłonach gór mieszkają, ale sami nigdy na Pik nie wchodzi, tak przez zabobon, jak z braku rzeczywistej po temu potrzeby.

Po długich poszukiwaniach udało nam się znaleźć coś pośredniego i wyjątkowego zarazem: cywilizowanego bubisa. W Europie dwa te wyrazy nie dźwięczą żadnym dyssonansem, ale trzeba znać bubisów, to najkonserwatywniejsze i najuparciej w swej pierwotności zasklepione plemię, żeby zrozumieć fenomenalność połączenia tych dwóch antytez.

Otóż ten fenix ubrany w surdut i spodnie, mówiący jako tako angielskim żargonem i tytułujący się „Mr George Scott“, zasłyszawszy o naszych poszukiwaniach, sam się zgłosił, zapewniając, iż znajdzie nam takiego krajowca, który zna drogę na Pik, tęsamą drogę, jaką przed laty szedł Hiszpan Pellon, i zaprowadzi nas na tęsamą górę, gdzie tenże Pellon maszt z flagą hiszpańską zatknął i pismo w butelce na pamiątkę swej bytności zostawił. Zobowiązał się również towarzyszyć nam w tej wyprawie osobiście w charakterze tłumacza i pośrednika w stosunkach z krajowcami, z jakimi wypadłoby mieć do czynienia w drodze. Wzamian za to po powrocie z wyprawy otrzymać miał 12 skrzynek dżynu, co się równa summie 108 fr. (pesetas).

Umowa ta zawartą została piśmiennie w Santa Isabel w obecności świadków, poczem Mr George Scott odplynął na wschodni brzeg wyspy, do swej siedziby, zwanej *Basuala*, gdzie za kilka dni mieliśmy się z nim połączyć, on zaś przez ten czas miał znaleźć i ugodzić owego przewodnika, obiecując mu w naszym imieniu jako zapłatę: fuzya, dwie baryłki prochu i sześć główek tytoniu.

8-go Stycznia tedy 1890 r. odbiliśmy od brzegu o ósmej godzinie zrana. Ekspedycja nasza składała się z dwóch łodzi, 14-tu rosłych i silnych kru-

manów i tyluż pakunków. Wielki *serbot* (balenie-ra) dźwigał większą część ludzi i bagaż; podczas gdy sunący przodem lekki gig niósł tylko nas dwoje, czterech wioślarzy, teodolit, i duży barometr, spoczywający w objęciach, specjalnie do opiekiowania się nim delegowanego, murzyna, który, siedząc na przednim dziobie łodzi, zdawał się wysoce przejętym ważnością swego posłannictwa.

Intrygował go szczególniej krzyż, czerwoną kredą na wierzchu tej wysokiej, wąskiej skrzynki nakreślony, a oznaczający pionową pozycją instrumentu, której pod surową karą nie wolno mu było zmienić.

Zaledwie minęliśmy przylądek Punta Fernanda, będący jakby rogatką wyspy, którego bez pasportu, przedstawionego na pontonie opłynąć nie można, przyłączyła się do naszego grona zgoła niepożądana towarzysza: febra, ze specjalną do mnie wizytą.

Gorąco było straszliwe, falisty ruch łodzi powiększał moje cierpienia, byliśmy więc zmuszeni, puszczać przodem baleniecę, zatrzymać się na parę najskwarniejszych godzin na jednej z nadbrzeżnych farm, należącej do znajomej potonegerki, i tam, lekki zresztą, atak wkrótce przeminął. Popsuł on nam jednak szyki o tyle, że uniemożliwił dotarcie przed zachodem słońca do *Basuali*, znanej ze swego ohydneho lądowania.

Około trzeciej z południa puściliśmy się w dalszą drogę, płynąc wciąż wzdłuż północnego brzegu wyspy, aż do rodzaju kanału, utworzonego przez brzeg i trzy maleńkie skaliste wysepki, jedna obok drugiej sterczące, zwane *Horacio*. Wązki ten przesmyk, najeżony podwodnymi skałami, w czasie odpływu prawie niepodobny do przebycia, jest krańcowym punktem północnego brzegu. Minawszy go, łódź skręciła na prawo, i znaleźliśmy się na wschodniej stronie wyspy.

Zmiana kierunku nie przyniosła żadnej różnicy w wyglądzie linii brzegowej. Tu i tam tażsama amfiteatralna ściana lasów, zstępujących ze skłonów gór aż po samo morze, którego fale mnóstwem większych i mniejszych zatok zabiegają w łód, obejmując ją w długie, ostre ramiona przylądków. Kaskady roślinności, jak strugi wody, pod słońce mienią się i błyszczą cudowną grą kolorów. Młode liście kąpią kroplami rubinu po ciemnych szmaragdach dojrzałego listowia; girlandy bladobiałych, prawie białych gałęzi zwieszają się nad błękitnawymi głębiami ukrytych w gąszczach parowów, a rażąco-jasne jak mechy zielone kopuły młodych mangusów puszą się na skłonach pośród smukłych bladobiałych pni *ceibów*. Gdzieś niedługo z łona tej niezrównanej, jakby na palecie najsmielszego impresjonisty poczętej wegetacji, wykwiata szara kiść dymu, czepiając się wierzchołków drzew. To bandera niewidzialnej bubiskiej wioski (*Besé*).

Dzień miał się ku końcowi.

Lekka mgła przyćmiewająca dotąd tęczową świetność szat, jaką góry na Fernando-Poo na swych barkach noszą, rozwiła się w zachodnich blaskach słońca; ochłodzone powietrze nabrało dziwnej przezroczystości, a każdy powiew od brzegu niósł nam narkotyczne wonie, te miłeżące pieśni kwiatów, kładące się do snu w ciszy dziewiczych lasów. Na morzu, po przeciwnej brzegowi stronie rozlało się szkarłatne jezioro zachodniej łuny, poza którem w głębi, nieco ku północy, podnosił się na horyzoncie Pik kameruński, jak płonący żuzel, podczas gdy widzialna już tylko z profilu kopuła szczytu błyszczała złocistym rąbkiem na zaróżowionem delikatnie tle niepokalanego błękitu.

I był to rzeczywiście widok wspaniały dla oka kołyszającego się w łódce wędrowca, o tyle wspaniały, o ile do odmalowania słowami trudny: te dwa szczyty potężne, w królewskie barwy przyodziane i poglądujące na siebie przez morskie głębiny, co im stopy obmywają.

Noc już była głęboka, gdyśmy do *Basuali* przybyli.

Na pokrzyki krumanów naszych zajaśniały światła na wzgórkach i ukazała się zatoka, będąca istnem rumowiskiem złomów kamiennych, wśród których wązka, zygzakowata ścieżka wodna wiodła do brzegu. Niepodobieństwem było zapuszczać się w nią szalupą; zatrzymaliśmy się więc

opodal, a George Scott, lawirując zręcznie małą pirożką, podpływał ku nam i przewiózł nas na ląd.

Niewesołe czekały nas tam wieści. Przewodnika, na którego rachował nasz pośrednik, nie udało mu się zwerbować i w ogóle cała ludność górskiej wsi *Basoso* nad *Basualą* leżącą, przez którą droga na Pik wieź miała, była bardzo nieżyczliwie usposobiona dla naszych zamysłów.

Scott jednak nie tracił nadziei, że osobiste porozumienie się z nami i widok przywiezionych przez nas podarków zmięczą ich opór.

Tymczasem prosił, abyśmy się rozgościli i oprowadzał nas z dumą po swoim domu, który, jak na bubiską siedzibę, był obszerny i względnie czysty. W pierwszej izbie wisiał hamak, w którym sypiał sam właściciel. Dwie drugie oddano nam do dyspozycji. W każdej palił się w dużym, żelaznym kociołku olej palmowy. Ściany, naturalnie, klecone były z mat bambusowych, bez drzwi i okien.

George Scott szastał się, udając światowca. „Proszę siadać, *Mrs Scott*”—rzekł do mnie, i wnet, niby poprawiając się, zawołał: „Ach! przepraszam ale oprócz mojej żony nigdy tu żadnej innej damy (*a lady*) nie było, więc omyliłem się”.

Na to weszła jakaś stara, zgięta we dwoje, szkaradna bubiska. Na szczęście nie była to jego żona, która pod tę porę znajdowała się w *Santa Isabel*; w każdym razie jednak dość już byłam obeznana z wdziękami bubiskich kobiet, starych czy młodych, żeby się uczuć głęboko upokorzona w swej próżności taką omyłką pana *Scotta*.

Nazajutrz rano przyszedł kacyk z *Basoso*, stary, silnie zbudowany bubis, z siwą brodą, zapleciona w dwa warkoczyki, kończące się jednym.

Rozpoczęły się palary i trwały półtora dnia. Kacyk odchodził, wracał, zabierał podarunki, odnosił je, przyprowadzał innych bubisów, *Scott* parlamentował z nimi i kłócił się potrosze. Chwilami wszyscy, siedząc na ziemi, zapadali w pełne namysłów milczenie, poczem zaczynali mówić razem, sprawiając hałas nieopisany. Rogoziński, z początku samego, dla zjednania starego kacyka, ofiarował mu niebieską koszulę, nadmieniając, że może ją zatrzymać, choćby nawet układy nie doszły do skutku. Bubis przyjął ją z wielką radością nazajutrz jednak odniósł, oświadczając żalostnie, że na ogólne żądanie swych współbraci zwraca ją, jako *dash* (podarunek) białego człowieka, któryby niechybnie przyniósł mu nieszczęście. Oznajmił dalej, że jeżeli chcemy iść na górę przez jego *Basé*, to nam drogi tamować nie będzie, ale przewodnika stanowczo dać nie może.

Rzecz prosta, wychodziło to na to samo, jakby nam przystęp z tej strony, najdogodniejszej, zamknięto. Należało próbować szczęścia gdzieindziej.

Scott upewniał, że popłynąwszy niżej jeszcze na południe do miejscowości zwanej *Bau*, znajdziemy chętniejszych krajowców.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Z PARADOKSÓW ŻYCIA“

ZBIÓR SZKICÓW

Cecylii Walewskiej.

Świeżo puszczonej w świat pod powyższym tytułem tomik autorki, utalentowanej niewątpliwie, i, co ważna, nawykłej do samodzielnego myślenia, stanowi zbiór trzynastu szkiców, z których znaczną większość raczej studiami nad chorobliwą naturą kobiecą nazwać-by się godziło. W nich daje nam p. Walewska przeważnie wizerunki kobiet o naturze wrażliwej, o pragnieniach częstokroć podnioslejszych, zdolnościach wyższych, ale, niestety, kobiet złamanych i ostatecznie unieszczęśliwionych wskutek fałszywego z gruntu wychowania. Kobiety pani Walewskiej nie są przeciętnymi, tuzinkowymi istotami, które mniej się poddają wszelkim wpływom zewnętrznym i tem samem mniejszej

potrzebują pieczołowitości w wychowaniu; przeciwnie: są to kobiety wyższego częstokroć umysłu, bogato uposażone przez naturę, ale przytem bardzo wrażliwe, czasem skłonne do hysterii, a więc wymagające niezmiernie ostrożnego i rozumnego przewodnictwa zamlodu, aby w przyszłości mogły się stać pożytecznymi cegiełkami w budowie rodziny i społeczeństwa. Wskutek właśnie źle zrozumianego systemu wychowania osobniki takie, chore psychicznie, zamiast urzeczywistnienia najpiękniejszych nadziei rodziców, kończą w przyszłości samobójstwem, obłąkaniem, silnem rozdrażnieniem nerwowem, przechodzącem w hysteryę, a w każdym razie stają się niezdolnymi do żadnej racjonalnej i produkcyjnej pracy.

Przypatrzmy się np. dwóm szkicom p. t. *Nie pierwsza i nie ostatnia* i *Z czyjej winy?* których bohaterki bardzo są do siebie zbliżone pod względem charakteru i niejako dopełniają się wzajemnie. *Helenka* (*Nie pierwsza i nie ostatnia*) i *Celinka* (*Z czyjej winy?*) były nadmiernie wrażliwymi i uczuciowymi dziećmi, które należało ostrożnie i rozumnie kształcić, aby zapobiedz w przyszłości strasznym następstwom zbytnej uczuciowości, a lepiej—nerwowości. Niestety, matka *Helenki*, niedoszła fortepianistka, postanowiła bądźco-bądź wykształcić córkę na artystkę, a postanowienie to powzięła w nadziei, że, gdy już jej samej losy sławy poskapiły, dziecko jej przynajmniej cieszyć się nią będzie. A więc z wytrwałością godną lepszej sprawy przystąpiła pani matka do nauki gry fortepianowej siedmioletniej dziewczynki, która w istocie najmniejszych zdolności wrodzonych w tym kierunku nie posiadała.

Tosamo zupełnie czyni w drugim szkicu ojciec *Celinki*, marząc wciąż o zawodzie literackim dla córki. Niegdyś sam on posiadał trochę zdolności twórczych, takiego przynajmniej był przekonania, jednakże nie rozwinął tego, co miał, bo mu na przeszkodzie stały: brak systematycznego wykształcenia i ciężka od lat najmłodszych praca na kawałek chleba. Pogrzebawszy w tej pracy wszystkie świetne swoje rojenia, gdy mu się urodziło pierwsze dziecko, wyrozumował sobie, że człowiek, posiadający zarodki wielkiego talentu, a niemający pola do rozwinięcia ich, odradza się w swym potomstwie; *Celinka* więc niewątpliwie odziedziczyła po nim jego zdolności. Istotnie od lat najmłodszych dziećci to okazywało niezmiernie bystry umysł i zapal do nauki, gorączkowo niemal pochłaniając wszystko, co tylko dano jej do czytania. A dawano, bez żadnego wyboru i systemu, przeważnie poezję, rozbudzającą zawczasem fantazją dziecka, lub dzieła naukowe, które jej gwałtem kazano rozumieć, a które wywoływały zbyt silne naprężenie umysłu dziecięcego. Gdyby *Celina* kształcona była rozsądnie, mogłaby niewątpliwie przy swych zdolnościach stać się kiedyś kobietą rozumną i pożyteczną dla społeczeństwa; tymczasem wskutek nieumiejętnego kierownictwa w dzieciństwie i nawału zbyt żmudnej i niszczącej wstępnym organizm pracy na pensyi, po złożeniu ostatecznych egzaminów dostaje zapalenia mózgu, z którego powolnie rozwija się spokojny obłęd.

Również tragicznie kończy i *Helena*, kierowana przez matkę na artystkę: — Brak zdrowego, systematycznie podawanego pokarmu dla umysłu, brak wszelkich rozrywek i zajęć higienicznych, wzmacniających organizm krępiących, nerwy, słabe z natury, a przytem ciągła przymusowa i nużąca gra na fortepianie — rozstroiły całkowicie jej systemat nerwowy i wywołały hysteryę, która w końcu doprowadza młodą dziewczynę do samobójstwa.

Takąsamą ofiarą błędnie prowadzonego wychowania jest także bohaterka szkicu p. t. *Moje wspomnienia*. W młodości chroniono ją przed wszystkim, co się nauką życia zowie; uczyła się wprawdzie na pensyi, utrzymywanej przez matkę, ale niewolno jej było łączyć się, bawić lub pracować z koleżankami z obawy, aby nie nauczyła się od nich „czego niepotrzebnego”. Poza lekcjami czytywała tylko *Zywoty świętych*, później dzieła *Hoffmanowej* lub powieści w rodzaju *Pawła i Wiryginii*; o ludziach, życiu i jego stronie praktycznej nie dano jej żadnego pojęcia, w obawie nadwężenia wszczepianych zasad prawdziwej moralności. Ukończywszy pensyę i zyskawszy nazwę panny

dorosłej, pokochała pierwszą miłością pana *Felixa*, z którym atoli najniespodziewaniej nakrótka przed ślubem zrywa, bo dowiaduje się od niego samego o fackie, który, jakkolwiek świadczył o prawości i szlachetności charakteru narzeczonego, jednakże wedle, niemającej o życiu najmniejszego pojęcia, panny, ostrożnie chowanej, był faktem hańbiącym go ostatecznie. Zerwała więc, aby potem wyjść za starca, rozpustnika, i złamać tem sobie życie nazawsze.

Jak widzimy, temat ten weale oryginalnością nie grzeszy: wyzyskiwało go już wielu naszych autorów, a zwłaszcza autorkę, z których najgruntowniej rozebrała go *Orzeszkowa* w kilku swych powieściach. Jeśli przytem zauważymy, że i samo wykonanie pod względem artystycznym mocno szwankuje, będziemy zmuszeni szkicowi temu odmówić wszelkiej wartości, a więc i racji bytu.

O wiele wyżej pod każdym względem stoją inne utwory pani Walewskiej, jak np. *Rachunek sumienia*, *Uspokojona* lub wreszcie *Anemiczna*, ujawniające niepoślednią znajomość w autorce pewnych zбочeń w psycho-fizjologicznym ustroju kobiety. W pierwszym z tych szkiców młoda 17-letnia dziewczyna po ukończeniu pensyi rzuca się z gorączkowym zapalem do dalszej nauki, przez co u jednych zyskuje pogardliwe miano „sawantki”, u większości atoli wzbudza stałe uwielbienie dla siebie i ten szacunek nieudany, który uczuwa przeciętna jednostka wobec mogącej jej zaimponować wyższości umysłowej. Pochwały zewsząd słyszane zwiększają wprawdzie w młodej dziewczynie upodobanie w czytaniu zwłaszcza dzieł poważnych, ale przytem również czynią ją i mniej sumienną w przyswajaniu sobie wiadomości naukowych; uczy się ona raczej dlatego, aby mogła się pochwalić w towarzystwie swoim zasobem wiedzy, niż dla rzeczywistego pożytku. Czyta więc wszystko, co tylko wpadnie jej w ręce, bez żadnego wyboru: po *Flammaronie* *Bain* lub *Bagehot*, *Agassiz* jednocześnie z *Darwinem* i t. d. To też słusznie pan *Józef*, doświadczony pedagog, orzekł pewnego razu, po dłuższej z nią pogawędce, że jej książki w głowie przewróciły. Słowa te w jednej chwili ostudziły w niej zapal do czytania; naraz straciła wszelką ochotę do dalszej pracy umysłowej. Po kilku tygodniach beczynnego życia uczuła jednakże znudzenie: natura wrażliwa domagała się ruchu, zajęcia. Bohaterka tedy nasza, nie mając na razie nic innego do roboty, poczęła uczyć dzieściociętą córeczkę stróża, ale niebawem przysła jej na myśl zaniebdana od pewnego czasu gra na fortepianie. Z radością i nadzieją świetnych rezultatów zaczęła brać lekcye muzyki, aby po roku codziennego kilkogodzinnego grania przerzucić się na inne pole zajęcia praktycznego, a mianowicie nauki koronkarstwa. Potem nastąpiła nauka krawieczyny, później malowania na porcelanie, drzeworytnictwa, ogrodnictwa, i t. d. Wszystkiego zatem skosztowała i niczego nie dokończyła. Raz usłyszawszy o sobie zdanie, że jest zmienną, może poraz pierwszy w życiu postanowiła zdać przed sobą rachunek sumienny ze swych czynności i na tej zasadzie urobić sąd o sobie samej. Niestety, po dokonany rachunku w summie otrzymała okrągłe zero. „Gdyby jednak jednostki, — mówi sama do siebie — mające moje usposobienie i będące w mojem rodzinno-towarzysko-materyalnym położeniu, mogły unikać bezowocnych, zniechęcających prób, a oddawać się wprost jakiejś programowo nakreślonej działalności, wówczas zatarłyby się może kółka zer, a na ich miejsce czas, pędzony bez ziewania lub bez gorączkowego oglądania się za czemś nieokreślonym, wydłużyłby jedynki”. A dlaczego tak nie jest? Jedyną odpowiedzią będzie niewątpliwie wadliwość wychowania, brak rozumnego kierownictwa zamlodu.

Główna postać kobieca szkicu p. t. *Uspokojona* ma wielkie pokrewieństwo z poprzednim typem; różnica pomiędzy temi charakterami polega tylko na większej niezdolności do czynu i silniej rozbującej imaginacji u bohaterki *Uspokojonej* skutkiem rozwiniętej hysterii. „*Uspokojona*” czyta *Bourget*’a i przepada za nim; często pod wpływem czytanej książki doświadcza dziwnych jakichś uczuć i pragnień. Chce tworzyć, żyć wielką jakąś idea, chce pracować jak niewolnica od świtu do nocy, rwie się do czegoś nieznanego, nieokreślonego, pragnie,

jednym słowem, ruchu i czynu. Jednostajne, spokojne życie z mężem łączy ją niewypowiedziane; za jakąbądź cenę pragnęłaby zmiany, jakiejś nowości; „nieraz przychodziło jej na myśl rozkochać się w kimś do szaleństwa i wywołać głośny skandal“; ale mąż stawał na przeszkodzie, mąż, którego kochała nadewszystko, jakkolwiek nawet sama przed sobą nie chciała przyznać się do tego, Staś bowiem miał jedną wielką wadę: był zanadto spokojnym, rozważnym, bez zapалу. Gniewało ją nieraz straszliwie, gdy na jej pytania odpowiadał łagodnie, tłumacząc jasno, spokojnie swoje poglądy wyrozumowane, zamiast błędzić z nią razem w sferach hipotez, w świecie urojeń i ideałów. Po upływie pewnego czasu takie zaburzenia nerwowe a raczej paroxyzmy hysteryczne ustają, dusza się uspokaja, kobieta czuje się szczęśliwą, na nie już nie narzeka, niczego nie pragnie i gorącymi pocałunkami obdarza męża, któremu atoli drży na ustach niewypowiedziane pytanie: „Czy długo tak będzie?“ — *Uspokojona* jest doskonale w swych szczegółach schwyconym typem hysteryczki, i byłaby to niewątpliwie najlepsza z prac autorki, gdyby można było w niej dostrzedz więcej ruchu i czynu, więcej śladów pędzla, a natomiast mniej rysów skalpela.

Szkic p. t. *Anemiczna* daje nam doskonałą charakterystykę uczucia miłości u młodej dziewczyny, dotkniętej chorobą anemii. Autorka z niepoślednią znajomością rzeczy kreśli przed czytelnikiem duchowy stan swej bohaterki od chwili rozbudzenia się w niej tego uczucia, aż do ostatniego aktu, gdy pierwszy pocałunek, złożony na jej białych ustach przez ukochanego, przyprawia ją o zemdlenie, a w dalszym ciągu wywołuje długą chorobę. Wanda, jako jednostka chora nerwowo, niezdolną jest do prawdziwej zdrowej miłości; jak wszystkie uczucia, tak i to postępuje w niej w kierunku nie naturalnym, chorobliwym: każda rozmowa z ukochanym wywołuje zawsze niezwykle zaburzenia w jej słabowitym organizmie i silnie rozpala jej wyobraźnię, stając się temsamem przyczyną niewysłowionych męczarni. Wszystkie te właśnie stopnie uczucia, potęgującego się co chwila wskutek stanu chorobliwego dziewczyny 17-letniej, kochającej nerwami właściwie, nie zaś sercem, jak to sama później po odzyskaniu zdrowia wyznaje, umiała p. Walewska pochwycić i uwydatnić z dokładnością i prawdą, świadcząca na korzyść obserwacyjnych zdolności autorki.

Ta jednakże znajomość, a bardziej jeszcze odczuwanie wszelkich objawów stanu patologicznego daje się zauważyć tylko względnie do kobiet. Z chwilą, gdy p. Walewska wyprowadzi na scenę męzczyznę, widać natychmiast łamanie się z niepokonanymi trudnościami, a ztąd lekkie tylko szkicowanie postaci bez głębszego zapuszczenia się w istotę natury bohatera. Dokładnie świadczy o tem przedewszystkiem szkic p. t. *O kwartet*, w którym autorka całą swą uwagę skierowała w stronę bohaterki, pasującej się z sobą podczas sprzeczki małżeńskiej. Mąż występuje tu tylko właściwie o tyle, o ile to jest koniecznym dla uwydatnienia charakteru i uposażenia chwilowego żony, zajmując w całym opowiadaniu stanowisko podrzędne, dodatkowe niejako. Wprawdzie znacznie wyraźniejszą sylwetkę męzczyzny mamy w szkicach p. t. *Ona i On* i *Pod krzyżem*; atoli i tu bohaterowie pod względem drobnostkowości, a nawet czasem i prawdy w kreśleniu szczegółów danego nastroju psychicznego, nie mogą całkowicie wytrzymać krytyki w porównaniu z charakterami kobiecymi. Wogóle najważniejszą cechą prac p. Walewskiej, w tym zbiorze umieszczonych, jest dokładna znajomość kobiety, a zwłaszcza pewnych nienormalnych chorobliwych objawów w jej ustroju duchowym. Autorka dokładnie bada pleć swoją i zna wszystkie w jej organizmie nieprawidłowości patologiczne, a występując z jednej strony jako myślicielka, z drugiej objawia zdolności głębokiego odczuwania niedoli kobiet, przeważnie ofiar wadliwego wychowania. Jednakże pomimo te niezaprzeczone, a niezbędne zalety talentu pisarskiego widzimy w utworach pani Walewskiej jedną wielkiego znaczenia wadę, która im znaczną część wartości literackiej ujmuje; tą wadą, widoczną we wszystkich szkicach, jest dotkliwie dająca się uczuć brak artyzmu. Autorka rzuca my-

śli, wypowiada to, co ją boli lub zajmuje żywiej, odkrywa jedną po drugiej rany społeczne, ale z tem wszystkiem nie tworzy; trzyma bowiem w ręce — jak już wyżej napomknęto — zamiast pędzla — skalpel. Ztąd w jej utworach uderza nas na wstępie zupełny brak akty, tak niezbędnej w każdym utworze belletrystycznym; bohaterki i bohaterowie jej raczej czują tylko, pozbawieni wszelkiego ruchu; o ich charakterze urabiamy sobie pojęcie, nie na zasadzie ich własnych czynów, lecz poprostu dowiadujemy się o nim z opowiadania samej autorki. Poniekąd wyjątek pod tym względem stanowią trzy utwory: *Karolka*, *Z warty* i *Bulanżysta*, jedyne w całym zbiorze na miano nowelli zasługujące; wszystkie inne są tylko dość dokładnymi studjami psychologicznymi nad nienormalnym duchowym stanem człowieka.

J. Nitowski.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

(Dokończenie).

O błędnych ognikach. — Lasecznik influenzy. — Przyrząd do latania w powietrzu.

Wreszcie pozostaje jeszcze wspomnieć o spostrzeżeniach majora Blesson, zamieszczonych przez Tomlinsona w „Philosophical Magazine“. Obserwacja dokonywana była w bagnistej dolinie leśnej; woda tego bagna zawierała w sobie obficie żelazo. Podczas dnia widać było na powierzchni wody pęcherzyki powietrzne, nocną porą zaś w tych miejscach igrały niebiesko-różowe płomyki. Pewnej nocy, gdy major zbliżył się do tego miejsca, płomyki pouciekały, gdy zaś pozostawał w spokoju przybliżyły się i wtedy próbował zapalić kawałek papieru. W początkach skutkiem oddychania płomień uciekał, gdy jednakże Blesson wstrzymał oddech lub odwracał głowę, udawało mu się w końcu papier zapalić. Widział także eksplozję, przyczem pokazało się czerwone światło, które jednakże wkrótce przybrało niebieski kolor i paliło się dosyć długo. Nad ranem płomienie bładły, zdawały się przybliżać ku ziemi a z chwilą rozwidnienia się nikły. Obserwacje swoje prowadził Blesson przez cały szereg nocy, w jednym z lasów Śląska Górnego; udawało mu się ów gaz błotny sztucznie zapalać, zapalić jednakże kawałek papieru lub drzewa o taki płomyk, później już nie mógł.

Zestawiwszy wszystkie powyższe przytoczone spostrzeżenia, nie podobna prawie powątpiewać, że błędne ogniki są to świecące wyziewy, które tworzą się w takich miejscach, gdzie grunt wydzielą gazy pływające. Główną częścią składową takich gazów jest węglowodór, złożony z jednego atomu węgla i czterech atomów wodoru. Można taki gaz zbierać w butelki na każdym bagienku leśnym i z pęcherzyków wytwarzających się na bagniskach. Przypadkowo mogą się przyłączyć gazy zawierające fosfor, lub też inne, posiadające własność dobrowolnego spalania się w powietrzu. Nad bagniskami tedy materiałów, mogących uleść spaleni, nie braknie; w jaki jednakże sposób przychodzi zjawisko to do skutku wyjaśnić dokładnie udaloby się na licznych spostrzeżeniach i na drodze analitycznej. Dotychczasowe bowiem spostrzeżenia, jak widzieliśmy, pozwalają przypuszczać, iż błędne ogniki bywają różnorodnego charakteru. Raz udawało się zapalać od nich papier, kiedy indziej znowu nie wydzielają prawie żadnego ciepła. Dla tego też przypuszczać-by można, że wydzielający się z bagien gaz spalać się może dwójako: w zwykły sposób, t. j. ze zjawiskiem płomienia gorącego, albo też bardzo powoli, jako fosforescencya, której siła świetlna jest tak słaba, że chociaż istnieje, we dnie dojrzyć jej niepodobna. W celu tedy zbadania błędnych ogników istnieją dwie drogi: nasamprzód należy je, t. j. ich gazy, zbierać w butelki i badać chemicznie, a następnie

trzeba wyszukiwać fosforyzującego, powolnego spalania i studyować jego naturę. Owa galaretowata masa, wyżej wspomniana, może pochodzić z rozplynięcia się produktów spalania fosforu, co do tego jednakże, to i tu jedynie chemiczne analizy mogą decydować — jeżeli, naturalnie, uda się znowu komu podobną masę pochwycić.

W miarę osuszania miejscowości bagnistych, błędne ogniki stają się coraz rzadszym zjawiskiem, i dlatego-to obecnie coraz rzadziej się o nich słyszy i coraz trudniej czegoś pozytywnego o nich się dowiedzieć.

Lecz wróćmy do rzeczy bieżących.

Jeżeli błędne ogniki należą do prawdziwych rzadkości, to zato *laseczniki influenzy* nie są niemi bynajmniej, rozgospodarowały się bowiem między nami w najlepsze i szerzą, nie na żarty, dzieło zniszczenia.

Dzięki badaniom D-ra Ryszarda Pfeiffera i D-ra Kanona, poznano przyczynę influenzy, którą jest, podobnie jak i innych chorób zaraźliwych, lasecznik; powątpiewać o prawdziwości rezultatu ich badań niepodobna, dokonaniemi bowiem zostały na znacznej liczbie obserwacji w instytucie dla chorób zakaźnych, pozostającym pod przewodnictwem prof. Rudolfa Kocha.

Znaleziono tedy w wydzielinie oskrzelowej, t. j. w płwocinie, we wszystkich przypadkach influenzy lasecznik, którego brak w innych chorobach, mianowicie takich, jak kataralne zapalenie oskrzeli, zapalenie płuc, suchoty płucne i t. p.; przekonano się przytem także, że z chwilą ustąpienia objawów influenzy znika równocześnie i lasecznik.

Są to zatem dowody niepozwalające wątpić, że on właśnie jest sprawcą choroby.

Laseczniki influenzy przedstawiają się pod mikroskopem w postaci bardzo małych pałeczek, które podobno D-r Pfeiffer widział już i fotografował przed dwoma laty, t. j. w chwili zawitania do nas tej choroby.

Próby szczepienia lasecznika udały się tylko u mały i królików, u innych zwierząt nie stwierdzono ich przyjęcia się.

Badania zaś D-ra Kanona wykazały, że we krwi chorych na influencję znajduje się zupełnie podobny lasecznik, jak ów odkryty przez D-ra Pfeiffera w płwocinie. Po największej części spotyka go się pojedynczo, znacznie rzadziej grupami, a w ogólności odnalezienie go przedstawia dosyć wielkie trudności. Prof. Koch stwierdził identityczność tych laseczników.

Pozostaje teraz popracować nad tem: w jaki sposób można tępić lasecznika influenzy? — a w tym celu ma się zebrać w Marcu kongres higieniczny w Londynie.

Nowy model maszyny do lotu, przedstawił przed niedawnym czasem p. Gustaw Trouvé, w paryskiej akademii nauk. Przyrząd jego nie posiada wcale balonu, utrzymuje się zaś w powietrzu jedynie siłą motoru, ważącego bardzo niewiele, obywa się bowiem bez kół zębatych, pasów i t. p. części składowych. Wynalazca zastosował w swym przyrządzie zasadę manometru metalicznego. Stanowi on rurę, zgiętą w kształcie podkowy, z którą łączą się dwa skrzydła. Gdy zatem zgięcia rury ulegają szybkim zmianom, skrzydła zostają również szybko wprawione w ruch. Co do skrzydeł, to posiadają one powierzchnię tak wygiętą, że zgęszczenie powietrza następuje tylko wtedy, gdy je opuścić na dół a skutkiem tego, cały przyrząd znajduje oparcie w powietrzu. Posiada przytem pletwę ogonową i ster pomieszczony w przedniej części przyrządu, służące do nadawania w biegu żądane-go kierunku. Teraz pozostaje jeszcze wywołanie rozmaitych ciśnień we wnętrzu owej ruchomej rury manometrycznej. Otóż cel ten osiągnąć zamierza p. Trouvé zapomocą wywoływania w niej peryodycznych wybuchów gazu i piorunującego. Niezbędny zaś do tego wodór w stanie zgęszczonym zawierać się ma w odpowiednim zbiorniku. W modelu, przedstawionym akademii, zbiornik zastąpiony jest przez przyrząd rewolwerowy z dwunastoma nabojami prochu, które automatycznie, kolejno jedne po drugich wybuchają, a gazy przez grubą ru-

rę przechodzą do manometru. Model przy takim urządzeniu, ważący 3½ kilograma, bieży szybko, a po ostatnim uderzeniu skrzydeł wolno opuszcza się na ziemię.

Czy przyrząd ten rozwiąże od tak dawna rozwiązywaną kwestyą lotu w powietrzu?—o tem naturalnie, jak na teraz, można powątpiewać; w każdym razie sam motor prawdopodobnie można będzie z korzyścią zastosować do innych celów technicznych.

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga o projekcie założenia tam szkoły hodowli drobiu, oraz zakładania szkół takich na prowincjach dla kobiet z klas średnich.

— Radzie państwa złożono projekt specjalnej komisji, działającej w sprawie wyższego wykształcenia kobiet.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczynności Publicznej otrzymała w terminie oznaczonym czterdzieści siedm podań od osób, ubiegających się o nagrodę z zapisu ś. p. Zacharkiewicza dla kucharek lub służ do wszystkiego, za długoletnią służbę w jednej rodzinie. Nagród takich jest trzy: 150 rs. za lat dwadzieścia, lub więcej; 75 rs. za lat piętnaście lub więcej i 45 rs. za lat dziesięć lub więcej. Między ubiegającymi się, których liczba jest większa, niż kiedy, znajdowały się osoby, które przebyły więcej niż lat trzydzieści u jednych pracodawców, i jest to dowód, że tak moralność tej klasy pracujących kobiet, jak i pojęcie obowiązków pani jest u nas zadawalniące. Nagrody, wedle litery testamentu, będą rozdzielane d. 19 Marca w obecności pracodawców.

— Towarzystwo opieki nad biednymi matkami liczy w składzie swej rady opiekuńczej panie: hr. Julią Branicką, hr. Helenę Krasińską, Anielę Kucharzewską, Augustę Małachowską, Wandę Wilczyńską, Janową Brzezińską, Kalixtówą Potkańską. W komitecie gospodarczym zasiada pań dwie: W. Wilezyńska i Marya Wrotnowska.

— Pierwsza u nas wykwalifikowana farmaceutka ze stopniem prowizora farmacyi, p. Karolina Sitkiewicz, zamierza nabyć aptekę i przyjmować na praktykę wyłącznie kobiety. Obok tego stara się ona o pozwolenie otwarcia przygotowawczego kursu farmacyi z celem uzdolnienia praktykantek do pierwszego: wstępnego egzaminu.

— Właściciel przedzalni w Sosnowicach, H. Diel, postanawia usunąć z zakładu swego wszystkie kobiety i zastąpić je przez mężczyzn, jako lepszych pracowników.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności zaprosiło na opiekunki ochrony IX imienia ks. Boudouina p. p. Wandę Chruszczakowską i Joannę Rychter. Nominacje na dozorczyńnię ochron udzielono p. p. Reginie Weinberger na dozorczyńnię ochrony XX, Ewelinie Lui na dozorczyńnię ochrony XXIV, Julii Bońkowskiej na dozorczyńnię żłobka przy ulicy Złotej.

— Anna B. pracująca w fabryce krawatów, znalazła na ulicy Wspólnej pugilares, zawierający 3.540 rs. i oddała go natychmiast poszukującemu straty swojej właścicielowi, p. Kazimierzowi B., który przeznaczył uczeniwej kobiecie jako nagrodę 10% odzyskanych pieniędzy, wnosząc na jej własność do Kasy Oszczędności 354 rs.

— Hr. Ksawerowa Branicka zajmuje opróżnione przez śmierć ś. p. Augustowej Potockiej miejsce w zarządzie szpitalika dziecięcego.

— P. Janina Miłkowska, ukończywszy w Paryżu i Florencji studia malarskie, zamierza otworzyć w Warszawie pracownię malarską i uczyć kobiety malowania akwarelą.

— Panie wiejskie z okolic Radomia sprowadziły dobrego majstra koszykarskiego, od którego

chęć pobierać naukę pleceni koszyków z zamiarem rozszerzenia następnie tego rzemiosła wśród ludności wiejskiej, szczepląc tym sposobem w okolicach swoich przemysł korzystny. Zasadzone przed kilku laty we wsi Zakrzewie plantacje wierzby koszykarskiej dostarczyć mogą obficie materiału. Odbyt na te wyroby uważać można jako pewny; obecnie już znajdują zbyt znaczny w Łodzi, odchodzą też i do Sandomierza.

— W okolicach Kalisza i ogólnie w miasteczkach, oraz wsiach położonych w pasie granicznym popyt jest znaczny na drób i jaja, co oddziaływa korzystnie na dochody, płynące z gospodarstwa kobiecego stron tamtych. Przy kolejach żelaznych targowiska tamtejsze mogą być z łatwością zaopatrywane w produkta te i ze stron dalszych.

— Rada szkolna okręgu krakowskiego i Galicji organizuje rocznie wskutek rozporządzeń rządowych, przecięciowo 150 szkół nowych, otwierając obok tego 60 klas nowych w szkołach już istniejących; że przytem naturalny porządek rzeczy sprawdza corocznie w gronie nauczycielskiem ubytek pewien, zatem przybytek roczny powinien przedstawiać liczbę 350 osób. Tak przecież nie jest: seminaria nauczycielskie dostarczają przecięciowo nie więcej nad 240 kandydatów i kandydatek, a obok tego najmniej połowa uczennic seminarium nie poświęca się po ukończeniu nauk zawodowi nauczycielskiemu, brak przeto jest wielki sił nauczycielskich, kobiecych zwłaszcza.

— Zmarła niedawno w Anglii szlachetna filantropka, zajmująca się gorąco losem niewidomych. Elżbieta Gelbert sama należała do ich liczby; zaniewidziała przecież mając już lat osnaście wskutek bardzo ciężkiej szkarlatyny, i skoro tylko przysła do zdrowia pozostała się niejako ze światem ludzi widzących, aby poświęcić się całkowicie tak jak sama nieszczęśliwym. Ona pierwsza podniosła w Anglii myśl szkoły rzemiosł dla niewidomych, i zaczynając skromnie, bo o własnych środkach, założyła taką szkołę, w warunkach bardzo ograniczonych na jednym z przedmieść Londynu. Dobry przykład oddziałał szczęśliwie i obecnie szkoła taka znajduje się niemal w każdym większym mieście angielskiem. Pamięć jej została uczczona przez świeżo wydaną książkę miss Franciszki Martin, zawierającą historią życia jej i prac nieboszeczki.

— Dwie missyonarki, należące do towarzystwa missyjnego, zawiązanego przez amerykańskie Towarzystwo kobiece wstrzemięźliwości, udały się w celach posłannictwa swego do Afryki, aby ratować nieszczęśliwe ludy czarne przed truczną napojów upajających, poddawanych im nikczemnie przez handlarzy europejskich.

— Umarła w Pradze kobieta zacna, znana w całym kraju z dzieł dobroczynnych i poświęcenia się szlachetnego dla dobra ogółu, Ludwika Oliva, żona filantropa Aloizego Oliva. Pochodząc z rodziny niemieckiej Heinze, była niemniej przywiązana duszą i sercem całym do ziemi rodzinnej i uważała to sobie za obowiązek, aby wedle sił posiadanych wspomagać sztukę czeską i rozwój cywilizacyjny narodu. Jej kosztem kształcił się w Paryżu jeden z pierwszych dziś muzyków czeskich, Ondrziejek, jej kosztem kończyły nauki wyższe całe szeregi młodzieży niezamożnej i śmierć jej wykazała dopiero krajowi jej zasługi, w cieniu przez nią trzymane. Małżonkowie Oliva zrobili zapis pół miliona zł. reń. na cele użytku publicznego, oddanych na ten cel z chwilą śmierci jednego z nich i summa ta przesła obecnie na rzecz powszechności czeskiej. Pogrzeb szlachetnej kobiety, miłującej Czechy nad wszystko, wykazał też jak wielce cenioną była. Jakkolwiek bezdzietna, mogła była oddać majątek krewnym, że przecież biednymi nie byli, umiała się podnieść nad uczucie dumy rodowej, nad naturalną skłonność serca, zwaną głosem krwi, a dodać należy, że ograniczała za życia i używanie własne z tym celem przed oczyma, aby przyłożyć się groszem posiadany do rozwoju nie tylko dobrobytu, ale przez przykład dobry i samopoczucia się Czechów w zakresie stawiania najwyżej obowiązków względem ogółu. Pogrzeb był niestety chanie wspaniałą przez oznaki czci powszechnej, przez współudział wielotysięcznych tłumów, które

otoczyły trumnę, przybywając z odległych nawet okolic.

— Redaktorka pisma dla kobiet, wychodzącego w Weimarze: „Frauenberuf“, Ida Kettler, podniosła we wspomnianem czasopiśmie ważną kwestyą zarobkowej pracy kobiety klas wyższych. Kobiety intelligentne, tak z zamożnych, jak średnio-zamożnych rodzin, wzięły tak silnie do serca i do umysłu kwestyą pracy kobiecej, że bez dostatecznego zbadania przedmiotu poczęły jej poszukiwać w kierunkach rozmaitych i Kettlerowa zastanawia się nad tem, czy owe w zasadzie godziwe pragnienie pomnażania dochodu swego, lub rodziny, nie wkracza niekiedy na grunt nieodpowiedni — na grunt cudzy. Poza sztuką i literaturą właściwą, poza tem, co jest obdarowaniem wyjątkowym: talentem — i co nie występuje też wśród społeczeństwa jako czynnik zarobkowy, kobiety majątne, niezależnego stanowiska nie powinny czynić konkurencyi robotnicy na chleb, zwłaszcza, że stosunki ich położenia towarzyskiego dają im tu przewagę co do środków zbytu. Zabierają też one grosz, który przedstawiałby kawałek chleba dla ust laknących go — kawałek chleba wydzielanym tem ustom oszczędnie. Grzeszy więc brakiem miłosierdzia i miłości bliźniego ta, która przywłaszcza sobie w ten sposób grosz ubogiej robotnicy. „Frauenberuf“ poświęca rozbirowi tej kwestyi stronnie kilka, rzecz jest tak jasna i bijąca w oczy, że niemal nie potrzeba jej dowodzić, bo też jest tutaj, nie tak brak zrozumienia przedmiotu, ile brak sprawiedliwości, brak uczucia, a sprawa to takiego rodzaju, że tylko sumienie własne sądzić i karać tu może, powinno, gdyż koniecznym następstwem rzeczy jest wobec konkurencyi obniżenie cen pracy, więc zarobku biednej robotnicy, a że nietylko w Weimarze tak się dzieje dowodzi fakt, że uwagi autorki niemieckiej zostały podane w tłumaczeniu przez angielskie pismo kobiece: „Women Herald“, i streszczone w drugim organie podobnym: „The Queen“.

— Włoska pani zamieszkująca Medyolan, księżna Eugenia Litta Bolognesi sprędała na publicznej licytacji sławne w świecie elegancyi koronki swoje, oraz klejnoty wysokiej wartości wachlarze malowane przez wielkich artystów, a to w celu zbudowania szpitala dla dzieci na przedmieściu Medyolanu.

— P. Janotówna, przebywająca w Londynie, przekłada na język angielski odczyty Kleczyńskiego o Szopenie. Przełożyła już ona poprzednio na ten język książkę tegoż autora: „Jak grać Szopena“ a wielkie jej powodzenie zachęciło tłumaczkę do tej nowej pracy, która miesiąc będzie na pierwszej stronicy miedzioryt portretu Szopena, malowanego przez Winterhaltera. Ofiarowaną ona zostanie królownie angielskiej Beatricey, wielkiej wielbicielce naszego mistrza.

Z bieżącej chwili.

— Na przyszłej wystawie elektrycznej w Petersburgu dokonane będą próby sygnalizacyi elektrycznej na różny sposób, a to w celu wypróbowania porównawczej ich wartości.

— Ruch handlowy Warszawy zwiększył się znacznie, jak tego dowodzi liczba świadectw na prawo handlu, wykupionych z początkiem b. roku: 17.128. Oplata złożona za nie przedstawia 594.486 rs. więcej niżeli w roku ubiegłym o 33.853 rs.

— Nocna pomoc lekarska, obowiązująca wszystkich lekarzy, którzy nie skończyli lat sześćdziesięciu, zasadza się na kolejno pełnionych dyżurach w mieszkaniach własnych, po dwóch na każdy cyrkuł, a to od godziny 8-jej wieczorem w zimie, a 9-jej w lecie, do godziny 8-jej rano z obowiązkiem udania się do chorego, lub udzielenia mu pomocy w domu swoim na każde wezwanie z prawem otrzymania honorarium 2 rs. w domu u siebie, 3 rs. poza domem. Lekarz w razie nie otrzymania honorarium od chorego dostanie je z funduszów miejskich, na ten cel przeznaczonych,

które od osób zamożniejszych będą następnie ściągnięte.

— Warszawska Kassa Oszczędności liczyła w d. 15 Lutego 42,653 uczestników z wkładem wynoszącym 1,966,363 rs.

— Składki na kościół W. W. Świętych na Grzybowie, zbierane przez plebana tej parafii, zacnego Ks. Matuszewskiego, przyniosły dotąd rs. 10,000. Termin zbierania składek do wysokości rs. 40,000 według zezwolenia władzy, kończy się z d. 31 Sierpnia roku bieżącego.

— Tania kuchnia studencka na Krakowskim Przedmieściu, zagrożona niekorzystnymi dla niej zmianami, pozostanie nadal w warunkach dawnych.

— Stałej wystawie prób i wzorów fabrycznych, oraz rzemieślniczych przybyło w ciągu ubiegłego roku 260 uczestników. W roku przeszłym zwiędziło wystawę 2,500 osób, między niemi znaczny był procent kupców, przemysłowców, rzemieślników oraz agentów z odległych miejscowości handlowych i przemysłowych.

— Towarzystwo Muzyczne odbędzie doroczne zebranie członków swoich w d. 6 Marca. Prawo uczestniczenia w zebraniu posiadają tylko ci członkowie, którzy okażą dowód opłaconej składki za 1-sze półrocze b. r.

— Dom sierot po robotnikach wychowywał 24 sierot chłopców, z których 8 było zupełnymi sierotami bez matki i ojca, a szesnastu miało ojców. Z ogólnej liczby pensyonarzy tego zakładu 17 uczęszczało do szkół początkowych, 7 do szkoły rzemiosł. Dochodu miała pożyteczna ta instytucja 516,986 rs., wydatki na koszta szkolne i utrzymanie pensyonarzy, konserwacyą gmachu i obsługę wyniosły 43,018 rs. otrzymano więc przewyżkę dochodu.

Przemysł Warszawski posiadał w ubiegłym r. z 368 fabryk czynnych, zatrudniających 16,800 pracowników; produkcya tych fabryk i zakładów przemysłowych, przedstawiła wartość 26,798,803 rs. Liczba fabryk zwiększyła się o 22, ale liczba pracujących okazała się mniejszą o 390 osób. Produkcya zmniejszyła się o 2,072,435 rs., zamknięto 23 fabryki zatrudniające 600 robotników, z produkcją 1,538,568 rs.

— W ubiegłym tygodniu przejeżdżały przez Warszawę dwie rodziny, powracające z Brazylii, w stanie oplakany. Obietnice, które imi w kraju, okazały się na miejscu kłamliwymi. Osiedleni najpierw w Parana, przenieśli się wkrótce w okolice San Paulo, ale tam i tu praca przy plantacyi była ciężka, zapłata w stosunku do warunków miejscowych bynajmniej nie wysoka. Jeden z pomiędzy powracających, Jan Waka, z powiatu Janowskiego, stracił tam żonę i troje dzieci, powrócił pozbawiony rodziny i posiadanej mienia z jednym, jedynym już synem, nie mając gdzie się przytulić, i biedak obalamucony poszukuje teraz służby.

— Wysła świeżo dwu tomowa książka ks. Zygmunta Chelmieckiego „W Brazylii,“ opisująca poczwierzęcą przedsięwziętą jego podróż do tej nieszczęśliwej krainy, gdzie obalamuceni przez niesumiennych agentów, wychodzący nasi przecierpieli tyle nędz ciężkich, zasieli tyłu mogiłami niegościnną dla obcego przybysza ziemię tę zamorską. Książka dwu tomowa ozdobiona licznymi ilustracyami, wydana na pięknym papierze, daje się czytać z zajęciem, a nie jest to bynajmniej odbitka z *Notatek*, pisywanych niegdyś na miejscu do „Słowa.“ Opisy miejscowości tam podanych, są tu dokładniejsze, mieszczą się między niemi i nowe zupełnie, obok dwóch obrazków skreślonych na tle stosunków miejscowych. Że przytem styl i język jest poprawny, często przy opisach krajobrazów poetycznych, książka jest razem bardzo zajmującą. Autor ofia-

rował tę pracę swoją towarzyszywi wyprawy, p. Mikołajowi Glince.

— Niebezpieczeństwo głodu w Galicyi niepokoi tam ludzi. Na zapytanie wydziału krajowego: jakie są dane pod tym względem?—Komitet Krakowskiego Tow. Rolniczego odpowiedział na zasadzie danych zebranych przez Komisyją Statystyczną oraz na podstawie okręgowych Tow. Rolniczych, że niebezpieczeństwo głodu jest bardzo groźnem, szczególnie w powiatach północnych i podgórskich Galicyi Zachodniej oraz na Powiślu i w ogóle po polbrzeżach rzek większych. Żyta i kartofli, stanowiących podstawę żywienia się ludu wiejskiego, zaczyna już brakować i zaradzić można głodowi głównie przez roboty publiczne, które dostarczyły by zarobku, oraz ulgi w podatkach i znizenie ceny taryf kolejowych dla przewozu kartofli i kukurydzy, którą już obecnie żywią się włościanie. Potrzebna jest również pomoc przy zakupach kartofli do sadzenia. Komitet Towarzystwa uchwalił w tej smutnej sprawie wniesienie petycji do sejmu i Rady Państwa, wystosowanej przez okręgowe Tow. Rolnicze w Wieliczce, oraz petycji gmin, proszących o przeprowadzenie w roku bieżącym regulacyi dopływów i obwałowania Wisły w powiecie wiel-

ckim i bocheńskim w celu dostarczenia zarobku ubogiej ludności.

— Ukazało się we Lwowie wydawnictwo krajowego biura statystycznego, które wykazuje, że w przeciągu ostatnich lat dziesięciu ludność tamtejsza powiększyła się o 648,909 osób, czyli 64,890 ludzi rocznie, zwiększając przez wskazaną sumę ludność, która w 1890 r. wynosiła 6,607,816 osób.

— Umotywowane poglądy Krakowskiej Akademii Umiejętności w kwestyi ustalenia pisowni będą niebawem ogłoszone drukiem.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

Cale dzieło rs. 6

Zeszyt 25 kopiejek.

NOWY TESTAMENT PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSZTUSA

podług textu łacińskiego Wulgaty.

PRZEKŁAD X. JAKÓBA WUJKA.

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

Wydanie nowe in folio z komentarzem

Zaaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej

ozdobione 78 wspaniałemi ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

Cena dzieła rs. 6 z przesyłką pocztową rs. 7.

W pięknej oprawie ze złoconiami i brzegami złoconemi w futerale rs. 10—
z przesyłką rs. 11—do odleglejszych gubernii Cesarstwa rs. 12.

Dzieło to nabywać można również **częściowo** to jest zeszytami; zeszyty rozsyłane będą co 10 dni.—Zeszytów jest 24. Cena zeszytu 25 kop. pocztą 32, na prowincję expedjuje po 5 zeszytów naraz.

Księgarnia M. ARCTA, ulica Nowy-Świat N. 53.

Można nabyć lub prenumerować to dzieło również za zaliczką pocztową;—znajduje się we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Cel życia pojęty w wychowaniu, przez M. I.—Zima, przez J. Nitowskiego (wiersz).—Niewolnica powieść, przez Bronisława Grabowskiego (dalszy ciąg).—Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich).—„Z paradoksów życia“ zbiór szkiców Cecylii Walewskiej, przez J. Nitowskiego.—Z działy przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dra Józefa Starkmana.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Ogłoszenie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego.—Przeгляд mód. 26 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Jakie są i będą okrycia modne na wiosnę. — Jasne suknie sukienne. — Kaftaniki „figaro.“ — Jak się ubierają na ślizgawkę w Paryżu. — Bizuterye. — Dezinfekcyja rzeczy po chorych na zaraźliwą chorobę.

Ze zbliżającą się wiosną w Paryżu już zaczyna być mowa o wiosennych okryciach, bo tam i ciepło i słońce wcześniejsze jak u nas. Długie płaszcze ustąpiły miejsca krótkim płaszczkom tak wygodnym w noszeniu, gdyż i suknię łatwo podnieść można i uwydatnić toaletę. Długie płaszcze są tylko konieczne w toalecie na mróz lub do powozu, a w każdym razie do wieczornej toalety. Krótkie marszczone płaszczyki, będące bardzo elegancką okrywką, robią w tysiącnych odmianach, niektóre złożone są z trzech krótkich pelety, objętych futerkiem, waznutkim paskiem tumaków z kołnierzem „à la Médicis,“ podbitym także futrem. Takie noszono w zimie, dziś z wiosną futro zamieniono aksamitem. Płaszczyki te są krótsze od zeszłorocznych i mniej wysokie mają ramiona czyli epolety, ładnie bardzo wyglądają przybrane kozami mongolskimi, z których formuje się w tyle wysoki w górze a spiczasto naszyty w tyle kołnier, z przodu zaś spadają po za długość płaszczyka. Suknie sukienne, które zawsze są modne i dobrze noszone, bardzo ładnie i dystyngowanie się prezentują, przestębnowane w do-

le kilkanaście razy na wysokość 10 do 15 centim. grubym kordonkiem, sztywny obrąbek w dole utrzymuje ten szlak tak, że spódnica rozrzuca się z wielką elegancją. Taka suknia sukienka służy zwykle za kostium, a chcąc ją zrobić strojną przypięć żabot koronkowy, lub dać plastron aksamitny jakiegò modnego koloru a suknia będzie zupełnie wizytową, widzieliśmy taką suknię w magazynie pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próżnej, gdzie głównie gotowe kostiumy mają cechę angielską, na małym plastronie koloru dalja przypięty był żabot z koronki weneckiej, z lewego boku ozdobiony pękiem pukli ałasowej wstążki koloru sukni „beige,“ który na podkładzie kolorowym ślicznie odbijał. Śliczne są także te małe „figara,“ które bez rękawów ogarniowane u szyi sutą riuszą, noszą się do każdej sukni, często w tyle wycięte spiczasto jak z przodu; robią je z materiału dżetowego, z aksamitu, malują, haftują, słowem zmieniają się na wszelki sposób, tak jak one zmieniają pozór całej toalety.

Musiemy powiedzieć, choć może nieco spóźnione, słówko o toalecie na ślizgawkę. U nas sądzą ogólnie, że na ślizgawkę noszą się zupełnie odrębne kostiumy i tylko brak takowych zastępują zwykłą ciepłą z grubego materiału suknią, tymczasem z korespondencyi otrzymanej w tych dniach z Paryża na specjalne nasze zapytanie, czy są inne kostiumy—odebraliśmy odpowiedź, że pomimo, iż czasem dajemy ryciny przedstawiające łyżwiarki, jednak żadna z prawdziwych paryżkich elegantek nie ubiera się tak na ślizgawkę. Zaba-

wa ta jest tak przyjęta w Paryżu przez cały ogół świata paryżkiego a szczególnie kobiecego, bo ten ma zwykle więcej czasu, że ambarasowne by to było zmieniać toaletę dla tej półgodzinnej lub godzinnej przyjemności. Paryżanka wychodzi na ulicę w zwykłej toalecie do wyjścia przeznaczonej, to jest w grubej sukni, naturalnie bez długiego okrycia, które jak wyżej mniej są używane, wstępuje w przelocie na ślizgawkę, tam podpina suknię na jeden lub dwa guziki, przygotowane do tego, a po odbytej ślizgawce idzie dalej na miasto, lub nawet oddaje wizyty, a często gdy trafi na dzień przyjęcia przetańczy nawet parę turów walca w tej toalecie, w której się ślizgała. Dodać tu muszę, że paryżanki zaczynają już na błoto podpinać suknie.

Nigdy zbytek w bizuteryach nie doszedł do tego stopnia jak obecnie. Młode panny nawet noszą brylanty i perły jakby mężatki. Najprzód szpilki różnej formy i fantazyi wpinają się w stanik dla ułożenia jakiegò draperyi, lub tylko fałdki, są do tego umyślnie robione maleńkie złote agrafki w formie broszek, czyli owych tak zwanych szpilek bezpieczeństwa, ale i inne formy podłużnych broszek są także używane. Innego znowu rodzaju szpilki zdobią głowę; szylkretowe, nabijane brylantami lub kolorowymi kamieniami wpina się we włosy; inne jeszcze bardzo bogato odrobione, cyzelowane, wpinają w kapelusz, pomimo, iż dzisiejsze fasony trzymają się dobrze na głowie. Widzieliśmy u pana Mankielewicza pod filarami teatralnymi szpilkę formy spadającej gruszki z jednej

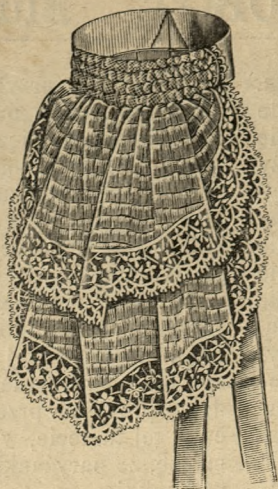


Nr 1. Suknia spacerowa. (Opis pierw. str. tabl.).

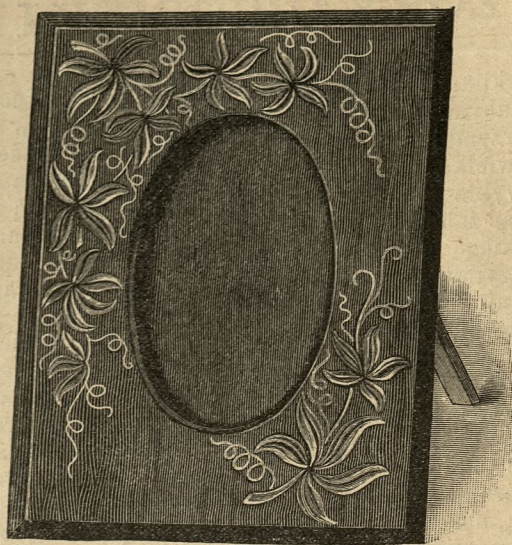
Nr 2. Suknia spacerowa z sukna. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 3. Suknia z „faille“ i sukna. (Opis odwr. str. tabl.).

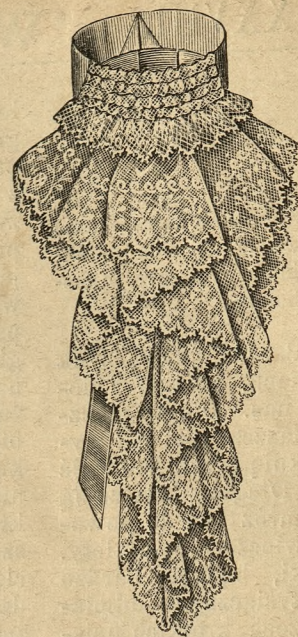
perły prawdziwej, była śliczna, bo też u pana Mankielwicza wszystko jest w dobrym guście, a ponieważ nie wszyscy możemy takie nosić, więc też obok u pani Golińskiej spotyka się naśladowanie tych pięknych prawdziwych biżuterii paryzkiego wyrobu, tak zwane „or doublée“, co dosłownie znaczy „złoto podszyte“, a jest to wyrób galwanicznym sposobem pokryty złotą blaszką, jak wyroby srebrne platerowane, tylko że tu artyzm wchodzi o wiele więcej w rachubę, niżeli złoto, to, i bądź-co-bądź, chociaż Wiedeń produkuje te rzeczy



Nr 4. Napierśnik z krepy jedwabnej i koronki.



Nr 5. Ramka. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 29).



Nr 6. Żabot z „crêpe lisse“ i koronki.

Napierśnik z jedwabnej krepy i koronki.

Rycina Nr 4.

Skrajać część 58 c. długo a 68 cent. szer. krepy jasnoniebieskiej w pasy, zaokrąglić rogi, wyłożyć część na 22 c. dług., obszyć koronką „crême“ 5½ c. szer. i wykończyć podług ryc.

Ramka (wyrzynanie na drzewie).

Rycina Nr 5. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 29).

Ramka z drzewa olszowego. Rzeźbę wykonać wiadomym sposobem z tą różnicą, że przed rozpoczęciem należy drzewo posmarować kwasem garbarskim a po wykonaniu rzeźby polerować, co nadaje piękny połysk. Fig. 29 podaje deseń, który za pomocą kalki przenieść na drzewo.

Żabot z „crêpe lisse“ i koronki.

Rycina Nr 6.

Na podstawkę do żabotu użyć część wstążki jasnoniebieskiej atlasowej 30 c. dług. a 5½ c. szer., dolną część zwięzić za pomocą faldy. Zmarszczyć dwie haftowane szlarki z „crêpe lisse“ niebieskiego 1¾ metra dług. a 10 c. szer. odziergane jedwabiem niebieskim w ząbki podłożone białą koronką 6½ c. szer. Wykończyć podług ryc.

Kokarda z krepy jedwabnej.

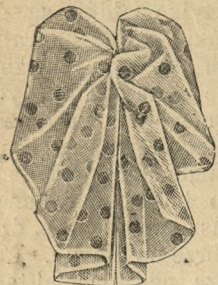
Rycina Nr 7.

Część krepy 18 c. szer. a 1 metr dług. koloru żółtego w czarne rzucane grochy. Poprzeczne końce połączyć i utworzyć kokardę podług ryc.

Szlak do chustek do nosa (robotą klockowa).

Rycina Nr 8 i 9.

Szlak wykonany 38-ma parami klocków i kilku parami klocków pomocniczych niemi koronkowemi Nr 60 na poduszce okrągłej. Stosownie do ryc. Nr 9, przedstawiającej sposób wykonania wpiąć szpilki w dziurki i zawieszać klocki jak następuje: 1 i 20 szp. na każdej 2 pary kl., 2 szp. 3 pary, 4 szp. 6 p., 5 i 6 szp. na każdej 4 pary i na 7 do 19 szp. po 1 p. Rozpoczynając od łuków otaczających wykonać ścieg



Nr 7. Kokarda z krepy jedwabnej w deseń.



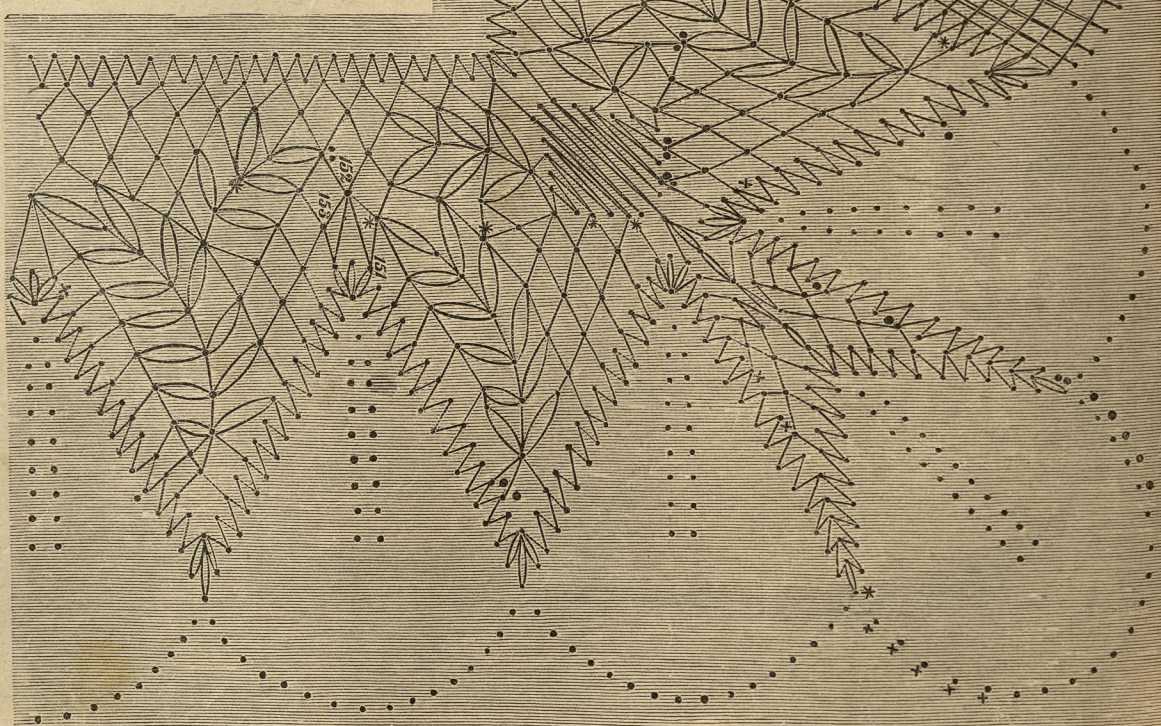
Nr 8. Szlak do chustek od nosa (robotą klockowa, (do ryc. Nr 9).

o wiele taniej, nigdy prawdziwej paryzkiej fantazy i wykonaniu nie dorówna.

Pierścionki także używają znowu wielkiej wziętości, coraz ich więcej spotyka się na polach elegantek, kolorowe kamienie otaczają brylanty, sygnety męskie wykonane lekko, podwiązki złote i t. p., tak, iż panny pragną otrzymać dziś przy zaręczynach kilka pierścionków, nie jak dawniej jeden, i noszą je równie obficie, jak dawniej tylko mężatki.

Z powodu panujących rozmaitych chorób w mieście naszym przypominam, iż farbiarnia Geberów w Grochowie urządziła od sześciu już lat tak zwaną „kamerę dezynfekcyjną“, do której odesłane rzeczy we 24 godzin oddają zupełnie oczyszczone z wszelkich miazmatów zaraźliwych i zarazków. Zdziwiliśmy się mocno, wyczytawszy w „Kuryerze Codziennym“, że będzie urządzony podobny specjalny zakład dezynfekcyjny, opisując to jako rzecz zupełnie nową, cieszą się z tej nowości, gdy tymczasem powtarzamy od lat sześciu, dając znać na Niecałą Nr 9, Leszno Nr 4, lub Nowy-Swiat róg Wareckiej i Marszałkowska Nr 116, do sklepu farbiarni, czyli jej filii, w godzinę przysyłają ludzi do zabrania rzeczy, a jak wyżej powiedziałam we 24 godzin je odwożą — i to wszystko — pościel, materace, sienniki, rzeczy do ubrania. Jak to jest konieczne, radzę zapytać lekarzy, którzy potwierdzą z pewnością słowa moje.

L. C.



Nr 9. Wzorek do szlaku Nr 8 (szerokość oryginalna).



Nr 10. Paltocik wiosenny dla panienki od 9—11 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 23—28).

cerowany 19 do 11 pary, wyjąć szp. z dz. 5 i pomiędzy obydwoma parami w te same dz. wpiąć. Ścieg cerow. od dz. 5 do dz. 21, 12 i 18 parą. Szp. w dz. 21, ale nie zamknąć, tylko przedostatnią p. ścieg cerowany przez poprzednie pary. potem przy zawieszanej p. na szp. 4, 10 razy okręcić i przewlec przez odpowiednią parę. Szp. w dz. 22, ścieg cer. na prawo. Ścieg cero. przedostatnią p. przez poprzednią p. Szpil. w dz. 23, ścieg cer. na prawo jak poprzednio. Śc. cer. przedostatnią p. przez poprzed. pary, następnie od dz. 4 skierowane p. 10 razy okręć., połączyć z odpowiednią p. i szp. w dz. 24 wpiąć. Ścieg cer. na prawo jak poprzednio. Wyjąć szpil. z dz. 21 i pomiędzy parami wpiąć w tą samą dz. i zamknąć, poczem pozostawić 2 p. na szp. 24. Od szp. 21 ścieg cer. na lewo. Szpil. w dz. 25, potem śc. cer. poprzednią parą. W ten sposób ciągle dalsze otoczenie wykonywać. Następnie połową łuku rozpocząć od pary zawieszanej na szpil. 20 i stosownie do wzoru i deseniu, sposobem wiadomym



Nr 11. Suknia dla młodej osoby. (Opis odwr. str. tabl.).

Nr 12. Szlafroczek z materiału krepowanego i materiału wełnianego „broché.” (Opis odwr. str. tabl.).

ściegiem podwójnym wykonywać aż do dz. 42, przy czem na nowo wiażyć 19 parę i po zamknięciu szp. 26 znowu pozostawić. Co do pikotów należy zawsze szp. 5 razy okręcić, od dz. 26 śc. podwójny. Dalszego ciągu roboty nie widzimy potrzeby opisywać, bo deseń i wzór są wyraźne, a sposób wykonania znany.

Wiosenny paltot dla panienki od 9—11 lat.

Rycina Nr 10. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 23—28).

Paltot z granatowego szewiotu ozdobiony aksamitnym tegoż koloru kołnierzem i takiemiż kłapeczkami. Po dopełnieniu złożenia fig. 23 skrajać z materiału i podszewki fig. 23 — 25 po dwie części. Fig. 27 z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawów. Następnie z aksamitu, podkładu i podszewki fig. 26 jedną część, fig. 28 dwie części złożone wzdłuż środka. Wykonać w przednich częściach nacięcie, powszywać kieszenie i przybrać kłapkami z aksamitu 6 cent. szer. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, te ostatnie zaopatrzyć aż do linii zgięcia podkładem i aksamitem. Przyszyć kołnierz od 51 do 55 i wyłożyć takowy wzdłuż linii zgięcia. Wykonać dziurki, wzdłuż linii przyszyć guziki. Rękawy zeszyć podług cyfr, przybrać kłapkami, zmarszczyć od * do * i wszyć w paltot, trafiając na 59 w 59.



Nr 15. Fartuszek z atlasu „merveilleux.”



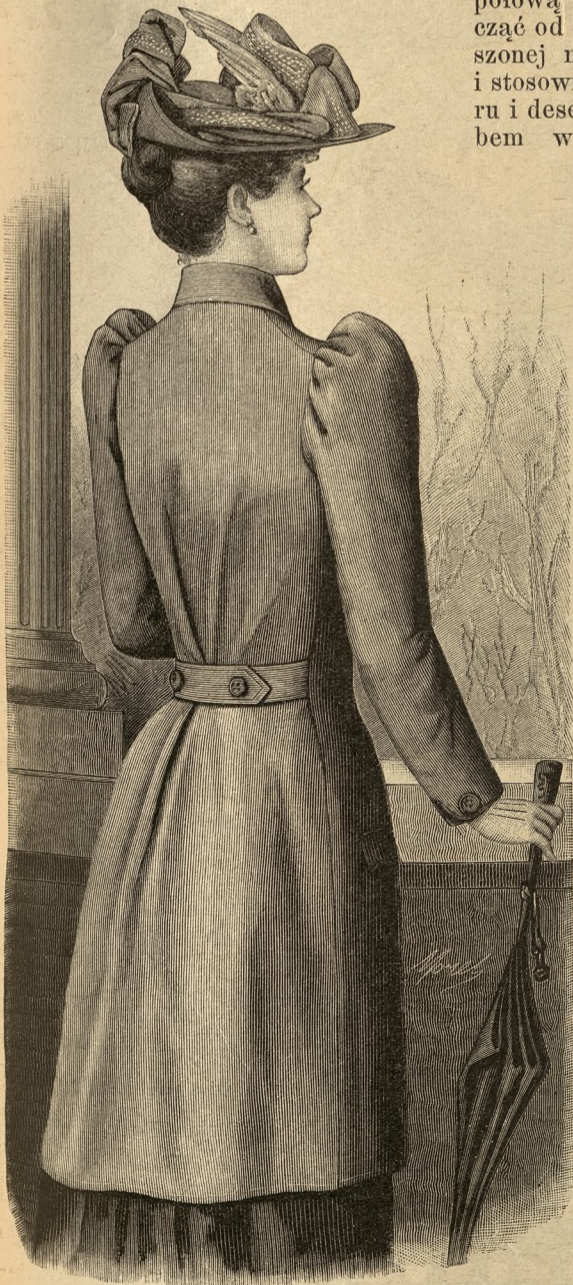
Nr 13. Paltot wiosenny z materiału angielskiego (do ryc. Nr 14).

Fartuszek z atlasu „merveilleux.”

Rycina Nr 15.

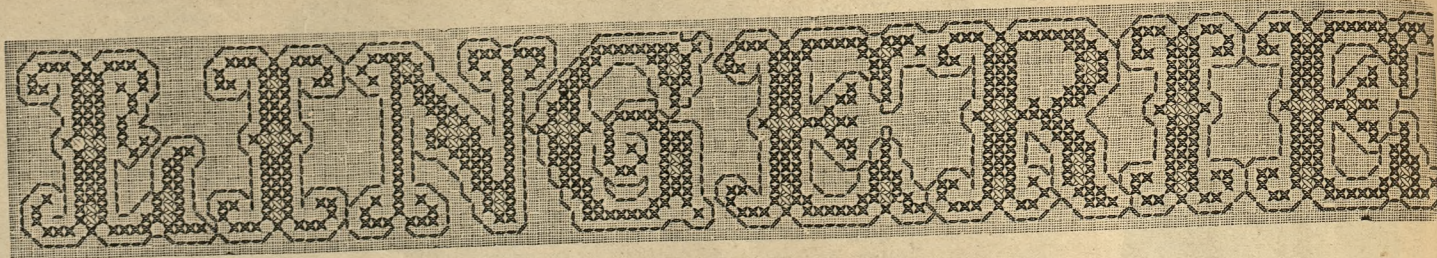
Skrajać część atlasu „merveilleux” koloru czarnego 58 centim. szeroką a 60 centim. długą. Dolny brzeg wyciąć w szpiczaste kłapki w odstepie 3 centim. 8 centim. długości, otoczyć takowe wypustką i podłożyć czarną koronką, zmarszczoną 16 centim. szerok. a 100 cent. dług. Pasmanteryjne figury wykończają całość.

Nr 14. Paltot wiosenny (do ryc. Nr 13). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—18.



Obiad na Niedzielę.

1. Zupa żółwiowa z główki cielecej.
2. Paszteciki w konkach.
3. Polędwica z makaronem.
4. Pularda z serdelowem masłem.
5. Krem kawowy.



Nr 16. Deseń do woreczka Nr 19. (Ścieg krzyżowy, płaski i Holbejn'a.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Czarn. w Monastyrsku.

Żubry chowają się w puszczech Białocerkwi i tam tylko dostać można owego siana, z którego robi się wódka. Mnie wypadkowo udało się dostać trochę dla zrobienia próby.

Odp. pani Żylińskiej.

Pomimo, iż w Paryżu noszą suknie przybrane marabutami, ale tylko kołnier i rękawy, bo

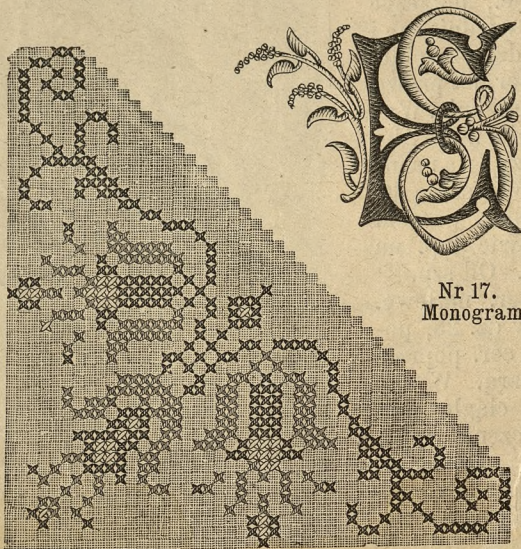
na oszycie w dole są za delikatne, w Warszawie ich jeszcze nigdzie dostać nie można. Dwa tylko są miejsca, gdzie podobne nowości sprzedają: 1) Stiefohn, Wierzbowa Nr 3, skład nowości i wyrobów szmuklerskich, 2) Hałaczkiwicz, fabryka piór, Tłomackie.

Odp. pani Strawicz...

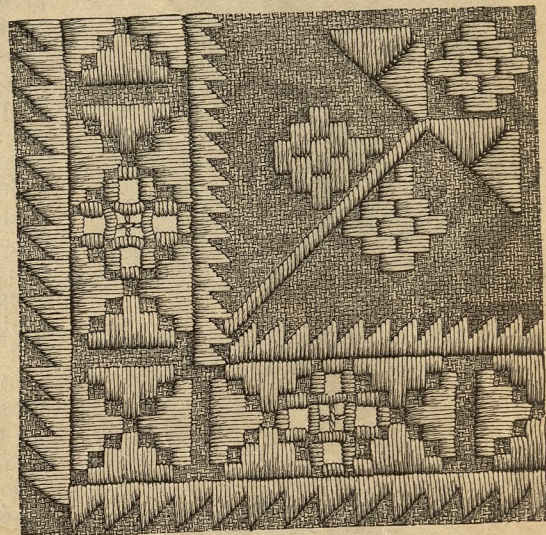
Duże obrusy zawsze w środku się znaczą atłaskiem monogramem, serwety w narożnikach mniejszym odpowiednim monogramem, bawełną ponsową, żeby było widoczne.



Nr 19. Woreczek na bieliznę. (Ścieg krzyżowy, płaski, Holbejn'a i robota szydełkowa) do ryc. Nr 16 i 18 i 20.

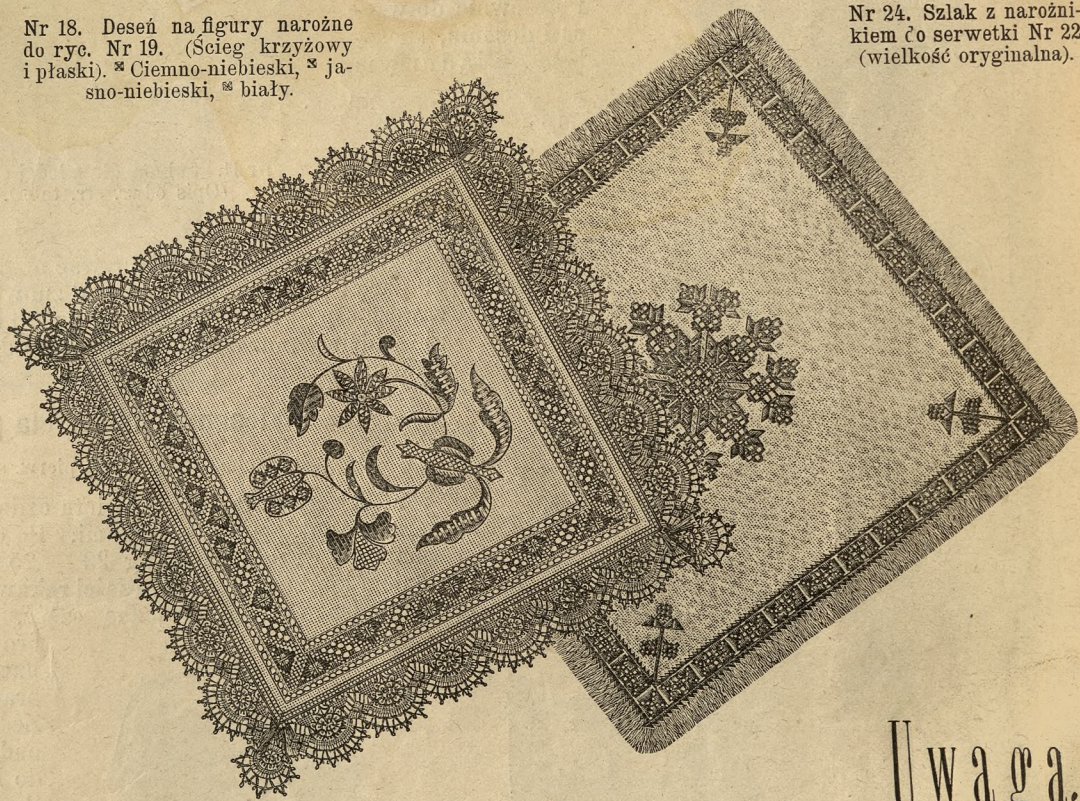


Nr 17.
Monogram.

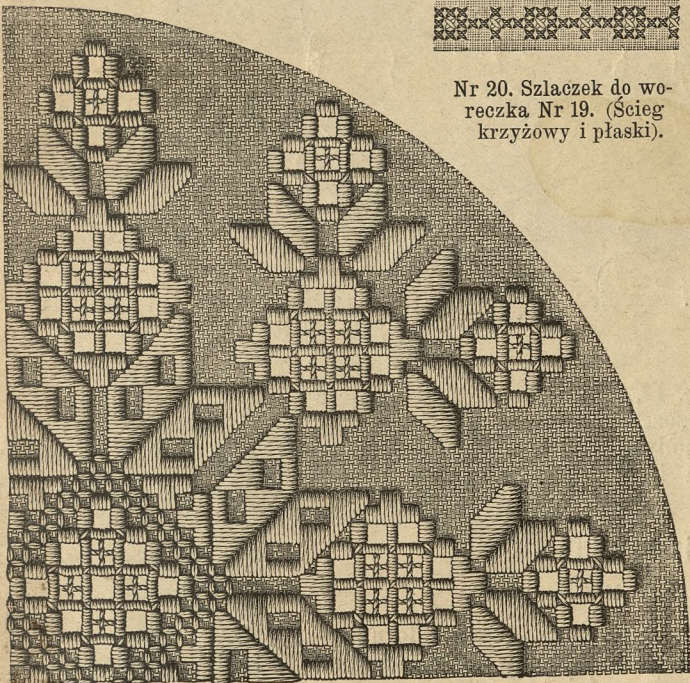


Nr 24. Szlak z narożnikiem co serwetki Nr 22 (wielkość oryginalna).

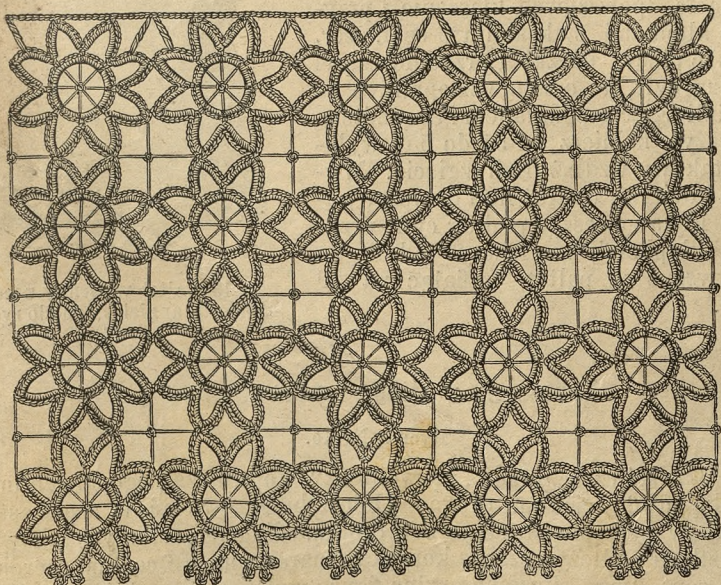
Nr 18. Deseń na figury narożne do ryc. Nr 19. (Ścieg krzyżowy i płaski). * Ciemno-niebieski, * jasno-niebieski, * biały.



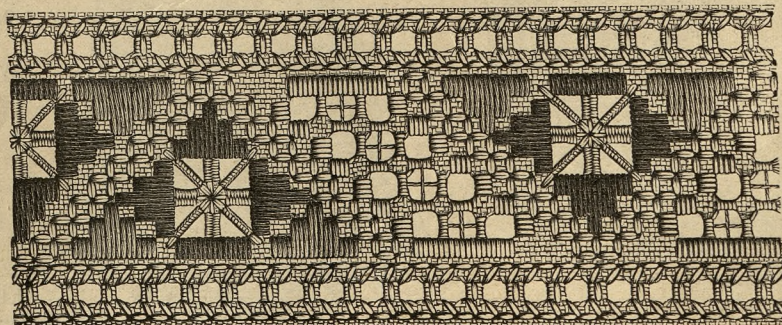
Nr 21 i 22. Serwetki (wyrób domowy węgierski) do ryc. Nr 23, 24 i 26. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30).



Nr 23. Część figury środkowej do serwetki Nr 22 (wielkość oryginalna).



Nr 25. Koronka (robota szydełkowa i ścieg koronkowy).



Nr 26. Szlak do serwetki Nr 21 (szerokość oryginalna).

Uwaga.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.